

REDLINSKI EDWARD

LISTY Z RABARBARU

Ojciec

Działo się to między Nowym Rokiem a Trzema Królami, w dzień powszedni, na drodze do Rabarbaru. Słońce zsuwało się już za horyzont, czerwone, a bez ciepła, mróz pazerny wylał z krawędzi zasp, spod cieni, z milczącego lasu i gęstniał z przednocnym pośpiechem, aż śniegi na polach siniały z zimna i niebne poliki kraśniały do różu. A księżyc windował się w górę całkiem nieprawdopodobny tuż przed naszymi saniami; koń, gdyby szyję wyciągnął, jak nic wziąłby go do pyska... Jedziemy wśród tych dziwności, ojciec i ja.

Nogi mamy w grochowinowej pierzynie, dłonie trzymamy w rękawach kozuchowych, siedzimy drętwi niczym śnięte karpie. Jedne oczy nam się ruszają pod czapkami. O metr koński zadek się kolebie, ciepłą parą owija, osnuwa. Płozy pomrukują na zmarzlinie. Z targu wracamy, dzyń-dzyń, wieprzkaśmy sprzedali, nie ma kucu-kucu, są pieniążki. Otóż i kościółek, obrazek bożonarodzeniowy, w dali wieś przydrożna. Wstąpmy, wstąpmy na chwilę, na pacierz choćby, zobaczyć, czemu się świeci. Ojciec gramoli się z półkoszka, lejce zawiązuje na słupie przy dzwonnicy. Idziemy.

A w kościele święci pańscy! I aniołkowie z trąbkami! Z jakim zapałem grają, nikogo nie ma, a oni w bezustannym napięciu! Klękamy, znak czynimy, wyszeptujemy słowa wysłużone, niech lecą, wzlatują jak gołąbki do okienka dobrze im wiadomego. Ojciec rozgląda się, za księdzem chyba. Ale cicho, żadnych kroków. Tedy wstaje, połę odwija, wyciąga portfel jak mszał wielki, rozkłada tę księgę, szpera. Wyciąga metalowe krążki, jeden, drugi... piąty! Dziesiątkę, całą dziesiątkę wrzucił do blaszanej skarbonki! Zabrzęczało szeroko, wysoko, aniołkowie się zaruszyli, echem trąbek odpowiedzieli... Wychodzimy.

7

Koń nogą stuka - ojciec spojrzął, za serce się złapał. O kurdebelans! Coś podobnego! Mróz lodem ściał pot na koniu. W ciągu pięciu minut przyodział Siwkę w szklaną zbroję. Ruszamy czym prędzej. Ojciec drży.

- Sybir - powiada. - Pluń.

Spluwam, ślina krzepnie, opiłkami spada w śnieg. Strach mię chwyta: Sybir! Koń zamarznie, do domu nie dojedziemy! Ojciec podnosi się w saniach. Zdejmuje z siebie kozuch, okrywa koniowi grzbiet i boki. Nasłuchujemy, czy tają lodowe pancerze. Skądże! Lód chrzęści, skrzyp--skrzyp, i to coraz głośniej.

Tedy pod górką ojciec zdejmuję fufajkę i okrywa nią kark koński wokół chomąta. Sam guziki u koszuli dopina, sporta podpała, dymem się zagrzewa od środka.

Mróz, co za mróz!

A koń poskrzypuje.

- Siwka moja - chrypi ojciec sinymi wargami. I półkożuszek ze mnie - ze mnie zdejmuję i owija szyję Siwce!

Jedziemy tak - on w koszuli tylko, ja w marynarce - przez styczniowy mróz i siłą rzeczy patrzymy dokoła bardzo bystro. A z lewej strony sunie coś dużego i czarnego. Ojciec oczy ma słabe, więc - Wilk! - krzyczy i kłonicę zza półkoszka wyciąga. Ja widzę, że to jest duże raczej wzwyż niż w przód i w tył. Nie wilk to, lecz człowiek. Drogę zabiega, za laterki chwyta, krzyczy czerwoną gębą:

- Nie leciała tedy, nie leciała?

- Kto? - szepcze ojciec.

- Baba! moja baba! - na to biegus, charcząc, a miał czapkę przekreśloną daszkiem do tyłu i rękawicę lewą na prawej ręce. Ojciec to spostrzega.

- Czort! czort! - wrzeszczy. - Hajda!

Ściąga lejce i lu! biegusa kłonicą między oczy. Siwka ponosi, stroje na niej podskakują. Ojciec w koszuli na mrozie pot ociera z czoła. Oglądam się za ciemną plamą na drodze.

- Nie Gawęcki to z Kościan? - mówię, a ojciec nic, tylko że czort nam drogę przeleciał. Do domu z półtora kilometra, a skrzywienie znów się odzywa i to już od kolan jakby, od pęcin. Co teraz tato zdejma - z siebie spodnie czy ze mnie marynarkę? Ale już Rabarbar widać i już skręcamy z gościńca

w polny trakt - i masz! Koń się ślizga, pada na kolana. Ojciec wie: Czortowa robota!

Podbiega, podnosi Siwkę. A krople rubinowe kap-kap na biały śnieg... Och, jak bolejąco zakrzyknął ojciec: - Hacele zdarte! Kurdebelans, nie okułem! - i jego wzrok pada na moje buty, nowe z podkówkami, skacze po cholewkach, już ziąb czują moje stopy.

- Szkoda - postępuje. - Butów szkoda.

I biegnie obok, wspierając Siwkę z lewej strony za hołobłą. Tak półnadzy i przerażeni wpadamy na gumno. Matka wybiega z chaty, patrzy, ręce załamuje.

- Odzienie! - woła. - Bójcie się Boga, odzienie tak marnować! Zęby mi dzwonią.

Czym prędzej do chaty!

Ojciec konia wyprzągł, chomąto i uzdę zawiesił w sieni na kołku i komodę rozbabruje za szmatką białą. Potem długo się bawi w stajni. Wróciwszy, uśmiech ma na ustach wieloznaczny. Blask i smęt jakiś rozplývają się z jego oczu po izbie. Dwie klacze hoduje ojciec - nic nie chcę przez to powiedzieć, ale dwie klacze ojciec hoduje. I teraz papier sobie podać każe i ołówka żąda. A przecież do podpisywania nic nie ma. Jezus, myśli swoje na papier przelewać będzie! Matka strwożona szybry w piecach zasuwa. Mnie tajemnica przyprawia o dreszcze.

Siada przy stole; żąda jeszcze czerwonej kredki. Rysować będzie? Wstrzymał się. W okno ciemne popatrzył, westchnął, coś jakby cichutkie rzenie wybiegło z jego piersi. I nagle kopię o białą materię oparł. Rysuje oto konia, konika, Siwkę rysuje. Hejta! Nie, koń kłęczy na załamanych kolanach. Oho, koła szprychate, o - fura siana... Odkłada ołówek, czerwoną kredkę ujmuje. Drżącą ręką rozlewa krew na papierze, trzy plamy: jedną pod pyskiem, drugą pod kolanami na gołoledzi, trzecią z tyłu fury jako przepisową chorągiewkę... Odpoczywa. Porównuje swoje dzieło z pięknym widokiem na przeciwnej ścianie.

A tam strzelec w kapeluszu z piórkiem mierzy do jelenia nad jeziorem. Po jeziorze łabędź płynie, na brzegu dziewczyna w muślinach macha do łabędzia haftowaną chusteczką. Zieleń, co za zieleń, najzieleń-sza z zieleni! Czerwień, jaka czerwona! Tak, to na pewno z tego obrazu wywodzą się sny ojcowe i matczyne, które opowiadają sobie podczas śniadania. Centymetr nad swoim koniopssem kaligrafuje ojciec kanciasto: Droga redakcjo. Pod czerwonymi plamami pisze nieprzytomny takie słowa:

8

9

GDZIE ZGINĘLI HACELI

Co ja ci koniku pomogę

Gdy haceli dostać nie mogę

Nie padaj nie padaj zaczekaj do wiosny

a kiedy lód stopnieje będziesz ciongnął prosto

Byłem ja w dwóch spółdzielniach by kupić hacela

ale tam można kupić wódki butele

w każdy dzień powszedni a także w niedziele

Dotszuj ty redakcjo do każdej spółdzielni GS

aby haceli kupił każdy z nas

Droga redakcjo zrozum moje boloncзки

aby każdy magazyn dostał wstydu i goroncзки

Proszę ulepszyć moje pismo i wydrukować

Józef Kosy wieś Rabarbar

Północ dochodziła, gdy skończył mordęgę i kazał mi kropki wstawić tam, gdzie trzeba.

Wstawiłem. Do rana przewracał się w łóżku. Jego piszczące łóżko ma szczytki z mosiężnymi gałkami. Szalony obraz wisi nad poduszką.

Zaprenumerowaliśmy gazetę, zaczęło się czekanie. W tym czasie ojciec opowiadał o koniach. Jak letnią nocą - przed wojną to było - skradziono ze stajni śmigłą Baškę i wóz ze stodoły. Do dziś nie wiadomo, czyja to sprawka. Może Cyganów... Opowiedział takie o dziadku, jak wykopyrtnął się dziadek przy koniach...

Ojciec mego ojca półdarmo nabył u Cyganów szerokopiersnego ogiera, niewątpliwie kradzionego. Lecz nim minął wieczór, rozszalał się w dziadku strach, strach sto razy potężniejszy od radości. Gdy słońce wzeszło, ujrzał się dziadek w odległej o sześćdziesiąt kilometrów Suchowoli na końskim targu. Wspaniały ogier rozpałił chłopów, licytowali się jak na tureckim rynku. Koniec końców wziął dziadek rubli trzy razy tyle, co był dał Cyganom. Ten zysk oszołomił go, wyrócił jego duszę szwami do wierzchu. Jął się dziadek koni. Na nie byle jakiego koniarza wyszedł, pieniądze go polubiły. Kupował na przykład kulawca i - zaprawiwszy precyzyjnie zdrową pęcinę szpilką dla wyrównania chodu - sprzedawał za trzykroć. Sflaczałe kobyły tańczyły mu jak źrebięta - od litra samogonu. Zęby niedojdów, zmurszałe, zachwycały po-lakierowane. Ale raz dziadek wpadł.

Na jarmarku w Knyszynie rozpoznał go brodac. Brodaczowi dziadek sprzedał onegdai lśniącego karusa. Listopadowe deszcze splukały farbę i karus okazał się srokaczem. Srokacz zaś sprowadza myszy do stodoły i robaki w mięso. A nade wszystko ośmiesza. Nadaje się tylko w pole; do miasta lub na sumę wybrać się srokaczem to jakby krowami do ślubu. Ośmiesza, zwłaszcza gdy przestaje być karusem, i to u poważnego gospodarza, mieniącego się końskim fachmanem. Więc kny-szyniaci zagnali dziadka do stajni, aby uciąć mu pewną rzecz. Na szczęście brodac potknął się o deskę. Widząc opadające spodnie, ujął oburącz tę deskę i zajechał nią dziadka po goliźnie; tamci trzymali, a on tłukł, jakby glinę uklepywał, to kantem, to na płask, a ojciec mego ojca darł się straszniej niż drutowany prosiak. Gdy przystąpili do ucinania, brodac miał już za mało gniewu. Zdołał jedynie ostrzyć dziadkowi łeb owczymi nożycami. Ze forszę odebrał, to jasne.

Po knyszyńskim dupniaku dziadek machnął ręką na handel, lecz konie nadal hodował, i to piękne. Zapraszano go na wszystkie w okolicy wesela, aby na czele orszaku wiózł pannę młodą i starszego družbanta do ślubu, ze ślubu zaś młodą parę. Wyszło na to, że konie były jego miłością, nie handelek. Życie pokazuje, kim człowiek jest naprawdę. A to, co gada o sobie, nieważne - dowodził ojciec, dokładając jeszcze historię cioci Gieni, która kochała nadzwyczajnie swoje dzieci. Ach, jak ja kocham moje dzieci - chełpiła się wylewnie, co ludzi małowównych denerwowało, ludzie wielkim słowom nie wierzą. I słusznie. Gdy dzieci wypędziły ciotkę Gienię na żebry, podpaliła im stodoły. Opowiadając to, ojciec krzywił się nie na dzieci, ale na ciotkę.

A on sam? Pokazałbym wam pewną fotografię: żebyście zobaczyli, jaka Siwka jest tłusta i lśniaca, a ojciec jaki chudy i nieogolony, jaka ona leniwa, a on jaki zatruchtany. Chcę, żebyście zobaczyli sami, kto ma zęby równiushkie i marmurowe, a kto gruchoty... Żałuję, że nie mam fotografii... Skąd mam mieć, jeśli ojciec fotografował się w życiu cztery razy, do paszportów - ruskiego, polskiego, niemieckiego i demokratycznego polskiego. Za to opowiem dalszy ciąg końskiej historii.

Po dwóch tygodniach znalazłem w gazecie pod nagłówkiem „Czytelnicy piszą” następującą notatkę:

Obywatel Józef Kosy ze wsi Rabarbar uskarża się na brak w sklepach wiejskich haceli do podków. Jak wiadomo, stanowią one nie-

odzowny element zimowego „uzbrojenia” koni. Mamy nadzieję, że handel wyjdzie naprzeciw potrzebom klienta wiejskiego - i to nie czekając następnej zimy.

Obrazka nie dali, wierszyka nie wydrukowali, lecz ojciec urósł, jakby kto mu order przypiął. Ależ ich rąbnęło! - cieszył się, obnosząc gazetę po sąsiadach. Ci obmacywali ją z niedowierzaniem. Bosak założył okulary, sylabizował: Ko-sy-ze-wsi-Ra-bar-bar! Po raz pierwszy czytał w druku nazwę naszej wsi...

Odczekawszy dwa, trzy dni, wybrał się ojciec do Guzowa, choć mróz już puścił i haccele właściwie do niczego nie były potrzebne. Pojechał triumfu posmakować. Sklepowy, ujrawszy ojca, skrzywił się.

- Wstyd, panie Kosy, wstyd mi za pana. Czy z pana dzieciak, panie Kosy? Listy!

„Redaktor”!... A fe! - I splunął za siebie, w sól kuchenną.

- Jakby były haccele - na to ojciec - toby ja nie pisał.

- Myślisz pan, że teraz będą? Mylisz się pan! Szacunek, jaki sąsiedzi powzięli dla ojca, zmałał.

Ale mniej więcej w kwietniu, po roztopach, zajechała do nas pod chatę niebieska warszawa. Potykając się o wiadra w ciemnej sieni, weszli do kuchni dwaj urzędnicy: wyższy w kapeluszu, niższy w dzieciennym berecie, za to z teczką.

- Smacznego! - powiedział wyższy, nie zdejmując kapelusza. Jedliśmy niby obiad, zacierkę pozostała ze śniadania. Ojciec zmieszał się, nie wiedząc, co rzec.

- Dziękujemy - odrzekła kulturalnie matka. Niższy usiadł na ławie.

- Pan Kosy, jeśli się nie mylę. - Tak zagaił. - To pan pisał do gazety?

Ojciec napiął uwagę do ostateczności. Czekał, z której strony go zajadą.

- J-ja... Ze tego...

Niższy wyjął z teczki papier z rubrykami.

- Kiedy pan chciał kupić?

- Kiedy? Najpierw przed tym, jak koń nogę skaleczył...

- No właśnie. Kiedy to było?

- Przed Nowym Rokiem.

- Mhm... - I coś zapisał. - Więc co, nie było haceli?

- No, chciał ja kupić, panowie. Nie moja wina...

- Nie szkodzi. Dużo pan chciał?

- Tyle co na konia, szesnaście.

- A co powiedział sprzedawca?

- Że nie ma...

- I co, doszło do wymiany zdań?

- Wymiany? - zdziwił się ojciec. I zamilkł.

- Niech się pan nie boi - zachęcał wyższy.

- Proszę powiedzieć - ośmielał niższy.

- Żadnej wymiany nie było. Tyle co ja powiedział, że kureski świat.

- Jak, jak?

- A nic. Że konia szkoda... Tymczasem wyższy rozglądał się po izbie.

- Czemu pan okien nie poszerzy, panie Kosy? - Pytał ni to służbowo, ni od siebie. Ojciec zamyślił się.

- Poszerzę, jak przyjdzie czas. Teraz oborę reperuje.

- A ile koni pan ma?

- Parę.

- Parę darmozjadów! Traktor lepiej pan by kupił. Nie uznaje pan traktora?

- Traktor traktorem, koń koniem.

- A po co koń?

- Drugie trzymają samochody, to ja mogę konia. Co kto lubi. Ja na samochodach się nie znam. A koń dla mnie jak pacierz.

- Traktor łatwiejszy w obsłudze od konia.

- Może i łatwiejszy... Ale jak ja głupich haceli kupić nie mogę, to co by było z częściami do traktora?

- No, no, nie przesadzajcie... - Wyższy zamilkł. Popatrzył na miskę, gdzie stygła zacierka, po obrazach się rozejrzał.

Zatrzymał wzrok na mojej czuprynie.

- A ten co taki ryży?

Zarumieniłem się momentalnie. Ojciec chrząknął:

- Bóg chciał...

Niższy podszedł z teczką.

- Proszę, pan podpisze...

- Gdzie? -Tu.

Stary mój odłożył łyżkę, zdjął watówkę i wziął długopis do ręki. Wyższy rozgadał się do mnie.

- Uczysz się?

12

13

Gardło mi się zacisnęło. Zdołałem jedynie kaszlnąć... Ojciec narysował „o”, szykował się do dziobka przy „s”. Wyższy głądził:

- To zostaniesz w domu?

- W domu.

- Czemu do jakiejś pracy nie chcesz?

- Na gospodarstwie... też praca...

- Znaczy: lubisz ziemię - ucieszył się. - Bardzo ładnie.

Ojciec skończył „y”, zrobił zakręt. Potrząsając zdrętwiałą ręką, spytał ostrożnie:

- A względem czego ja podpisywał?

- No względem tego, co pan mówił.

Niższy zapiął teczkę, ruszyli do drzwi. Z sieni wyższy rzucił przez ramię:

- Postaramy się o te hacie. Następnym razem piszcie prosto do nas: ulica Postępu Rolniczego sześćdziesiąt pięć.

- Tak jest, panowie... Proszę bardzo... Dziękuję. - Stary kłaniał się im z proga, płątał miastowe słowa.

Samochód zajeżdża do Rabarbaru raz na parę tygodni, zawsze przed chatę sołtysa. Potem zazwyczaj było zebranie. Tym razem wszystko odbyło się inaczej, i to było dziwne. Sąsiedzi stali już wzdłuż płotu. Podsuwali ojcu blaszane papierośnice i czekali wyjaśnień. Ich uwaga przywróciła mu rezon. Rozparł się łokciami na sztachetach, zwlekał: to ssał zęba, to ślinił papierosa. Rzucił półgębkiem:

- Pogoda marna, co? Nie dali się zwodzić.

- Marna, marna, a czego chcieli?

- O, bocian!

- Bocian, bocian. Czego przyjeżdżali?

- W sprawie haceli.

- Haceli? Fiu-fiu! No i co, bedo?

- Bedo. Na darmo by nie przyjeżdżali.

- Zobaczmy...

- Zobaczmy - rzekł ojciec wyniośle. Krawiec Gołab splunął w rozkisłą ziemię.

- E tam, srałpierdziałgryswode... - Naciągnął czapkę na oczy i polazł za gumnami do domu.

Latem haciele niepotrzebne. Lato minęło prędko. Przywlokła się jesień. Potem naskoczył grudzień. Barbara była po wodzie, Boże Narodzenie szykowało się po lodzie. W Wigilię Gołąb, będąc w Guzowie, zaszedł do sklepu spytać o haciele.

- Na razie nie ma - usłyszał. - Ale proszę dowiadywać się. Będą... W dzień Nowego Roku, zaraz po sumie, wpadł do nas Sołowiej,

wzburzony. Jego koń zwicznął nogę. Sołowiej trzymał w ręku kartkę i kopertę.

- Tylko przecinki wstawić, Pawełku - poprosił. Nadmieniłem, czy o ojcowskim liście nie słyszał. Machnął ręką.

- Y tam, co Siwka, a co mój Deresz! Takiego konia jak mój, ech, Pawełek!

Poprawiłem list drżącą dłonią.

Nazajutrz ojciec wszedł do stajni z uzdą w ręku. Zboże miał wieźć do młyna. Stanął przy progu i jak zawsze wyciągnął rękę do Siwki, cmokając. A ona wahała pod rusztami pyskiem i zamiast usłuźnie pochylić głowę, odwróciła się zadem. Może przypomniała sobie podróż sprzed roku... Może śniły się jej galopy na łące... Zarżała. Ojcem dreszcz wstrząsnął, zaśmiał się do niej ojciec zębami. Podszedł bliżej

I tak, śmiejąc się, wyciągnął znowu rękę, znów zachęcił - cu! cu! - a ona wtedy kopytem jak szpadryną trzasnęła go w kolano.

Dziesięć miesięcy kleili ojca. W tym czasie gospodarzyłem z matką. Nienawidziłem Siwki. Mściwie nie dosypywałem jej owsa. Za pługiem szarpałem wędzidło, aż przysiadła na zadzie. Rękojeścią bata biłem po zębach.

W październiku wrócił ojciec. Nogę miał zagipsowaną, wspierał się na lasce. Zaszedł najpierw nie do domu, lecz do stajni. Spojrzał na zębra Siwki - i ledwie uskokczyłem przed świśnięciem lachy! Jęknął, zakręcił się na jednej nodze i już zadyszany kusztykał z wiaderkiem owsa. A ta, gadzina, zanurzyła pysk w żłobie i żarła, przymykając oczy, po prostu żarła.

14

Zdrada

Dogadzam moim krowom jak narzeczonym. Pastwisko uklepało się pod ich racicami na polepę i trawy na nim tyle, co na polepie. Więc wyszukuję im skrawki taki nienadające się pod kosę, a zielono porośnięte. Zapędzam je na niezjeżdżone drogi polne, niezdeptane rowy. Radością jest dla mnie oglądać, jak w miarę najedzenia zasklepiają się im dołki na prawym boku, między zębami a spiczastą kością. Z młodego łubinu wrywam żółtą ognicę.

Najsoczystsze pęki odkładam dla Raby. Jej jednej rozluźniam na pastwisku pęto, choć jest z najmięk-szego lnu i bez węzłów. Stoisko Raby w oborze wyścielam słomą skrupulatnie. Za nic nie położyłaby się w wilgotnej ściółce. Względów tych udzielam ostrożnie, aby tamte nie dostrzegły. Za nagrodę starczy mi jej rozumienie moich starań - lizanie mego kolana, kładzenie szyi na ramię. To zmniejsza samotność. A samotność jest największą udręką pasionki.

Najbardziej dokucza jesienią. Pogoda rozmazuje wtedy smutek. Krowy łążą pod lasem niespokojne, wiatr podwiewa im liście pod nogi. Wyciągają szyje do pól, porykują do horyzontu. Osiki trzepoczą ostatnimi listkami i robi się straszno. Na osice powiesił się Judasz zdrajca. W lesie ktoś widział wilki. Strach podsuwa czarne stwory, strach wie, że ja, ten brzdąc tam pod topolą, mam lat dziesięć i że domu za drzewami nie widać.

Lecz na odsiecz idzie, szurając racicami po zeschniętych liściach, Raba, i stwory cofają się do lasu. W jej dwudziestopudowym cielsku mieszka siostrzana dusza, prosta i miękka. Raba polize mi bosą stopę, nadstawi szyję do podrapania. Jesteśmy przyjaciółmi, jesteśmy sobie potrzebni.

Pasę cztery krowy. Najstarsza jest Żuczka. Rowków ma na rogach dwa razy tyle, co ja lat, dożywa końca swoich dni. Samotnica. Na udeptanych zagonach wynajduje kępy koniczyny zajęcej, kręci się przy drzewach, snuje wzdłuż płotów, na skrajach ścieżek. Można ją puścić

nawet na miedzę - jest zdyscyplinowana, nie tknie ni seradeli, ni kartofli. W południe idzie pod osiki, rozkłada się baloniastym brzuchem na ziemi i mamle uzbierane soki.

Stadem rżadzi Czarnucha, nazwana tak dla ciemnej lśniącej sierści. Panowanie wydarła Żuczce w sposób zwierzęco zuchwały. Pewnego razu, zerwawszy pęto, oszołomiła się niby-wolnością - to w las biegła, to wypadała spomiędzy drzew cwałem jak ogier, to ryła łbem kępy. Wreszcie zaatakowała Żuczkę. Zwarły się rogami. Pobiegłem z różgą, aby je rozdzielić - gdzie tam! Smagałem po zadach, po uszach, kamieniami tłukłem w żebra, a one, wparłszy się w siebie aż do łoskotu rogów, orały racicami trawę, piana bryzgała im z pysków. Trzasnęło, prysnął krzywy róg Żuczki, zakapała z kikuta krew. Czarnucha pchnęła ją w bok, w żebra, spętana staruszka grzmotnęła na ziemię, wywaliła jęzor i zaryczała z brzucha, beklowie. Tak wygląda klęska.

Czarnucha okazała się dobrym wodzem. Nie atakuje bez potrzeby. Rozdziela walczące towarzyszek. Z daleka wyczuje, czy w oborze czeka je świeża słoma i dokładka siana. W lipcowe południe, gdy zabzy-czą gzy i krowy pędzą w krzaki jak oszalałe, gdy nawet stara Żuczka zadziera kopyta, jedynie Czarnucha nie traci godności. Łbem macha, kłapie uszami, wywija ogonem, ale panice się nie daje.

Mećka, najmłodsza, zajmuje trzecie miejsce w hierarchii władzy. Raz porwała się na Żuczkę, ale Czarnucha z miejsca nauczyła ją moresu... Niska, pękata, z wielkim łbem uzbrojonym w szablaste rogi, od rana do wieczora kombinuje, jak dopaść koniczyny, ziemniaków, kapusty. Pełza pod żerdziami, sady ponad kolczastym drutem, byleby na drugą, zakazaną stronę! A Raba! Mówiąc szczerze, Raba jest ładna. Jej kształtny tułów wieńczy drobna głowa na smukłej sarniej szyi. Gdy pije wodę w stawie, najpierw rozsuwa pyskiem zieloną rzęsę i przygląda się swemu odbiciu, strosząc uszy. W sadzie nie ogryza drzew i nie łowi jabłek ze zwisających gałęzi. Jeśli tamte podczas mego zagapienia się przerwą płot i ciachają żyto, ona pozostaje na pastwisku.

Pasionka kończy się na początku listopada. Od tego momentu moje spotkanie z krowami ograniczają się do pojenia oraz asystowania mat-  
%

ce przy wieczornym udoju. Jak lubię przyświecać dojeniu - usadowić się w żłobie z kopciuchem w ręku! Matka siada na niziutkim zydelku. Obejmuje skopek kolanami, opiera głowę o krowi brzuch. Jej palce tłoczą mleko z wymion z artystyczną precyzją. Zaciskają się na cycu w jednym momencie, a przecież niejednocześnie - jakby ktoś grał szybko grę na piszczałce. Od ściółki i od krów niesie się gęsty mleczny zapach, miesza się z kopciem latarki. Krowy żują siano, postępując. Ciepło, spokojnie, tysiąc kilometrów od świata. Matka pasuje do moich przyjaciółek. Jest kobietą dobrą. W niedzielę, warząc kapuśniak, śpiewa godzinki. Po śniadaniu sprząta w chacie, zmienia nam pościel, koszule. Potem bierze mnie do siebie na łóżko. Układam głowę na jej podołku, do iskania. Kogo nie iskano, ten nie wie, co stracił. Ech, matka umie iskać. Nieraz pstryka paznokciami na pusto, żeby zrobić przyjemność. Jest piękną kobietą i imię ma piękne: Helena. Czasem przygląda się ojcu chrapiącemu na szlabanku. Przerywa iskanie i bierze moją głowę w obie dłonie.

- Powiedz: Helik - prosi, mrużąc oczy.

- Helik! - powtarzam miękko, nic nie rozumiejąc. Śmieje się.

- A powiedz: Helica!

- Helica! - syczę.

Przyciąga mnie do piersi i całuje soczyście w usta. I budzi ojca, bo nadchodzi południe, pora odmawiania różańca.

Kiedyś matka zaniemogła i krowy doił ojciec. Krzyknął raz i drugi na Żuczkę, bo źle ustawiała nogę, zasłaniała wymię. Szturchnął Czarnuchę w brzuch. Nie podobało mu się moje przyświecanie. I nagle poczułem się jakby w cudzej oborze. Inne ściany, inne krowy. Ciaśniej i zimniej. Gdy ojciec podszedł do Raby, ta spłoszyła się, uciekła do kąta. To go

zdenerwowało - uderzył ją stołkiem w żebra. Raba oszalała. Rzuciła się na płot, wspięła, zawisała brzuchem na żerdzi. Gdy w końcu pozwoliła się ustawić, dygotała jak w febrze. Latarka w moich rękach wtórowała jej dzwonięciu. On pomrukiwał coś... Kaszlnęła i Raba kopnęła nogą w wiadro, biała struga chlusnęła w gnój. Ojciec zerwał się, zamachnął stołkiem raz, drugi! Runąłem do drzwi, byle dalej. Z ciemności leciały za mną krzyki ojca, porykiwanie Raby, trzask płotów...

Wrócił zły. Nalał wody do miednicy, obmywał przedramię z krwi. Nie wiem - ludzkiej czy zwierzęcej.

Skatował Rabę, a przecież kiedy indziej martwi się, że braknie słomy na ściółkę, że siana nie starcza. Obyła pakułami szczeliny w oborze...

W książkach piszą, że tylko zwierzęta mogą być prawdziwymi przyjaciółmi. Nie kombinują, nie zazdroszczą, nie zdradzają. Wpadła mi do rąk książka pt. „Biały Kieł”. Jestem już w trzeciej klasie. Zateśniłem do Białego Kłosa.

Psa nie mamy. Nasz siwy ze starości Żuczek zginął przed dwoma laty pod racicami Czarnuchy. Krowa zaplatała się rogami w jego łańcuch, stratowała mu grzbiet. Pies cierpiał straszliwie, z Witkiem i matką dzieliliśmy po cichu te męczarnie. O świcie obudził nas wystrzał, jakby karabinowy. Skoczyłem do okna: nad Żuczkiem stał ojciec. Nie chciał czy nie mógł, wzorem sąsiadów, użyć kołka lub sznurowej pętli. Wymyślił sposób mniej okrutny a honorowy: wygrzebał skądś nabój, ujął go w dopasowane szczypce, uderzył młotkiem w splonkę... Ręce pokaleczył.

Tęsknię za psem, silnym, wiernym przyjacielem. Pasę krowy i czytam. „Szara Wilczyca”, „Bari, syn Szarej Wilczycy”, „Władca Skalnej Doliny”, „Włóczęgi Północy” - piękne książki. Ach, zaprzyjaźnić się z niedźwiedziem, z wilkiem! Ale skąd niedźwiedź w rabarbarskich zagajnikach. Nawet psa nie ma gdzie zdobyć. Krowy... Cóż krowy... Są dobre, łagodne, ale to tylko krowy.

Przyłączył się do mnie Witek, starszy brat. Witek nienawidzi krów, od pasionki dostaje liszajów. Mnie prześladowa za to, że bierze od ojca ciężki dubeltowy, podczas gdy mój tyłek nie zna co pas. Żaby podrzuca mi do łóżka i wronie jajka, wciska za koszulę piekące jagody dzikiej róży. Pomysł z psem, choć mój, spodobał mu się. Nadeszła wiosna. Rozpoczęliśmy poszukiwania, a także zbijanie nowej przestronnej budy z desek i słomianej plecionki. Podobno Sztecki z Bruków chce pozbyć się półrocznego wilka.

Byliśmy u Szteckiego. Witek ciągnął grubą końską łańcuch. Tuż za furtką wyskoczył do nas bury tygrys z białymi zębiskami - drapnęliśmy w okamgnieniu, łańcuch został z tamtej strony furtki.

A buda, gotowa, czeka na lokatora.

Postanowiliśmy okraść szewca zza góry. Nieraz śledziłem z daleka płatającą się wokół jego chaty żółtą psinkę. Śni mi się ona po nocach. Baraszkuje ze mną, figluje, ciąga za nogawki. Zaczailiśmy się z Witkiem na skraju krzaków ze zmyślną pętlą na tyczce, czyhając na odpowiedni moment. Psinka się ukazała, a myśmy, jak na komendę, splunęli z obrzydzeniem. Z bliska było toto skrzywio-

18

19

na suką. Szorowało wymionami po ziemi. I na domiar złego wszczęło za nami obrzydliwy jazgot.

Nasze tęsknoty dotarły chyba do ojca. Któregoś dnia przyniósł w kieszeni szare nieruchome szczenię.

- Podniebienie czarne, będzie zły jak szerszun - zawyrokował.

Psiątko tkwi wciąż w budzie. Do miski z mlekiem wchodzi wszystkimi łapami. Czasem drapie się po brzuchu. Zameczamy je: podaj łapę! skocz przez rękę! baczność! Psiak w tym czasie



patrzy w bok lub przymyka ślipka, stęka, kicha. „Szerszun"! Witek pierwszy się zdenerwował. Powiedział ojcu, że to kaczka, nie pies. Ciekawe, co z tego wyrośnie. Wyrosło! Patrzymy z rana: przy budzie leży kura. Szyję ma przegryzioną pierwszorzędną, skrzydło rozerwane, tyłek bez pierza. Ale się ucieszyliśmy! Ojciec zaklął: Psiamać, kurojad będzie!

Stanęła ostro sprawa imienia. Ja jestem za Trezorem. To nazwa psa z książki „Na tropach przyrody". Witek upiera się przy Żuczku. Biliśmy się wiele razy, spór rozstrzygnął ojciec. - Trezor? - zdumiał się. - Jak to: Trezor! Może być Burek, Reks, Bryk, Miga, ale Trezor? Nie ma mowy. Co to, pies czy dyrektor?

Zastanowił się i zdecydował:

- Żuczek!

Nie ustąpiłem, po cichu obstaję przy wyśmianym Trezorze. Wskutek tego rośnie pies dwojga imion, Żuczek Trezor. W domu Żuczek, na pastwisku - Trezor Wicepasterz. Nauczył się zawracać krowy od szkody. A ja mogę zaczytywać się do upojenia w powieściach o przemądrych wilkach, wiernych koniach i nieposkromionych junakach. Poznałem słowo „kowboj". Kowboj - chłopak od krów, jak ja! Ale nie dla krów żyje kowboj, nie dla nich ćwiczy oko, ryzykuje krew, dziewczynę jak róża opuszcza o świcie. Mustang i wiatr! Góry skaliste, prerie niezmierzone! Lasso i kolty dwa! Galop wokół stada...

Ech, kowboje. Szalone zuchy. Gdyby mnie zobaczyli... Pewnie odwróciliby oczy. Bo czy można być bohaterem przy naszych pocziwych krowach?

Nocami rozmawiam z Winnetou. Z Oldem Shatterhandem snuję przed zaśnięciem plany wypraw. Z litością patrzę na nasze stodoły i chlewy, mierzi mnie ojcowe pełzanie po gumnie. Wieczorami obmyślam ucieczkę. Jeśli nie na Dzikim Zachód, to gdziekolwiek. Byleby szarżować jak Indianie, strzelać, pojedynkować się i tropić, szpiegów wykrywać! Matka głowi się, czemu to odsuwam kartofle, czemu kapuśniaku nie jem. - Może robaki masz, Pawełek? Kartofle! Co ona wie.

Trezor odsunął się ode mnie, zaprzyjaźnił się z krowami. Pozwala im na wszystko. Zwłaszcza polubił Rabę. Przycupnie tuż przy jej pysku i rozmiłowanym okiem obserwuje, jak szczypie trawę. A krowy rozłazą się przy płotach bezkarnie, strącają mnie z bohaterskich szlaków. Więc z książką na kolanach siadam w rogu pastwiska obok kupy kamieni. Gdy któraś krowa zbliży się do pola, ciskam w nią brukowcem, a do takiej wprawy doszedłem, że z czterdziestu metrów nieomylnie trafiam w najboleńsze miejsce: szpiczastą kość nad dołkiem.

20

Brzozy

Zazdroszczę Witkowi od pierwszych chwil świadomości. Mój starszy brat zrywa niedojrzale jabłka i nie dostaje robaków. Szabruje w Bo-sakowych truskawkach i nie usycha mu ręka. Kradnie jajka na cukierki i nie idzie do piekła. Czort nie dzieciak - żali się matka. Bandyta wyrośnie - trapi się ojciec. Często zdejmuje pas i uklepuje Witkowi zadek, Witek drze gębę wniebogłoso. Matka zaś wkłada mu do głowy: A widzisz, Pawełek nie dostaje. Bądź taki jak Pawełek...

Moja pozycja dobrego synka ma wiele zalet, ale jeszcze więcej uciążliwości. Oto nie mogę zdać katechizmów na trzy, powinienem na pięć, a co najmniej na cztery. Za krowami kuję siedem grzechów głównych, uczynki miłosierne co do ciała, co to są aniołowie... Także nie wypada mi mówić brzydkich słów. Wypatruję na drogach ślepcę, aby spełnić dobry uczynek: przeprowadzić go przez kładkę, wskazać drogę, pokrzepić dobrym słowem - choć raz na tydzień. Książd Andrzej, który te normy ustala, ma lat około trzydziestu, jest mężczyzną zwinnym, wiecznie spoconym. Siedzimy w mrocznej nawie na sosnowych ławach. Książd Andrzej prześlizguje się wzrokiem po rządach. Osmykując cienkimi palcami różgę, wyklada:

- Niektóre dzieci są okrutne. Na przykład złapią muszkę i co robią z biedną muszką? Urywają jej skrzydełka, nóżki, nosek. Tak nie można, kochane dzieci, grzech. Muszka cierpi okropne męczarnie! Muszkę można zabić, ale ciach! Jednym klapnięciem, bezboleśnie.

Ech, życie... Bzycząca mucha ląduje mi na czole. Lezie po nosie, szyi, wpełza pod koszulę. Z rękawa wylazi na dłoń. Poruszam ręką -mucha wzlatuje. Powraca. Aha, jednym klapnięciem.

Więc ciach! Oklask huśta się w pustym kościele łoskotliwym echem, ksiądz Andrzej purpurowieje. Podbiega i wierzbina smaga po łydkach, a jakby serce moje gorliwe smagał.

- Ty mały łobuzie - strofuje - ja ci dam śmieszki z księdza robić. - I ciach, ciach różgą. Pot ociera. - A teraz: siedem grzechów głównych!

Dzwonię zębami, wyliczam:

- Pierwszy pycha, drugi chciwość, trzeci nieczystość... Jacek, syn kierowniczkii, zapytuje rzeczowo i bez tremy:

- Proszę księdza, co to pycha?

Przytomnie organiziak. Otwiera usta. Nie do ziewania. Kwestię ma.

- Co to jest nieczystość? - pyta. Jacek wie:

- Nieczystość to brud.

Ksiądz klaszcze uciszająco w dłonie. Skoro najlepsi uczniowie pytają, wyjaśni.

- Drogie dzieciaczki, o nieczystość pytanie. Dobrze... Zaraz powiem... Widzicie, niegrzeczni chłopcy mają takie zabawy... Sami się bawią, czasem z dziewczynkami...

Cisza jak makiem zasiał.

- Na osobności bawią się, skrycie. Bo wstydzą się. A jak wstydzą się, to znaczy, że brzydkie jest to, co robią.

Jakbym widział synalków Stolarskiego!

- Pan Bóg nie lubi brzydkich zabaw i rozpustnych dzieci. Później wyrosną z nich złodzieje, bandyci. A bandyci pójdą do piekła. Dzieci, kto opowie o piekle?

Nikt nie zdradza ochoty. Wszyscy oglądamy dłonie na kolanach. Nadarza mi się szansa poprawy.

- W piekle jest ogień i rozpalona smoła - oświadczam. - Stoją diabły z widłami i kłują w plecy. Mają ostre obcęgi i ciągną obcęgi za uszy. Wrzucają grzeszników do smoły...

W szkole nauczyciel walczy z kłamstwem.

- Dzieci, kłamstwo jest najbrzydszą rzeczą pod słońcem, mówcie zawsze prawdę. Wszystkie nieszczęścia biorą się stąd, że ludzie nie mówią prawdy. Tak samo bardzo nieładnie jest rozmawiać w czasie lekcji.

W ostatniej ławce za karę siedzą po lekcjach Gutecki i mój brat Witek, szóstoklasiści. Niby odrabiają zadania, a widać - zakrywają dłońmi usta i szepczą do siebie. Podnoszą palce.

22

23

- Proszę pana, Witek rozmawia i rozmawia.

Nauczyciel woła Witka. Każe mu wyciągnąć dłoń. Odlicza siedem uderzeń liniałem i odprawia do domu.

Dwie godziny mijają mi w gorliwym podnieceniu. Najszybciej liczę, najprędzej przepisuję, najczyściej rysuję.

A w lesie w poprzek ścieżki leży z teczką pod głową Witek. Na mój widok podnosi się.

- Ty szpiegu! Skarżypyto! Brata skarżyć? - Puszcza mnie przodem i co parę kroków kopie w tyłek. - A masz! A masz!

Gdy odwrócę się i wspomnę o piekle, tłucze mnie teczką w kark.

- Piekło? Dureń jeden!

Najwdzięczniejszym miejscem dla sprawowania zbawicielskiej misji są łąki za lasem.

Jesienią gospodarze z Rabarbaru i Bruków zbierają drugi pokos i gdy tylko trawa odrośnie na centymetr, pędzimy tam krowy na ostatnie dni pasionki. Rozpalamy ognisko, pieczemy

kartofle, marchew, mamy tysiąc zabaw. Bezpańskie krowy snują się wśród zadymionych wierzb. Szkody nigdzie żadnej nie ma, pola puste, bo oziminy wschodzą później. Życie mamy stepowe.

Królują Stolarczuki - już choćby dlatego, że tylko oni przypędzają byka. Buhaj nazywa się Żuan. Stolarczuki mówią, że to od „żuć”. Żu-an ma w nozdrzach metalowe kółko i daje wodzić się za nos nawet Kazikowi, najmniejszemu ze Stolarczuków. Je niewiele, wciąż tylko porykuje - to grubo, to cienko.

Stolarczuki są zuchami dużej klasy: galopują na krowach, po gałęziach najgrubszych wierzb skaczą jak małpy, chodzą na rękach. Ich kompan, Leszek z Warszawy, który od wojny nie ma ani domu, ani rodziców i służy u Szteckiego w Brukach za pastucha, wiosną wybiera z gniazd wronięta. Ciska je o drzewo, zabijając bez bólu, i wrzuca do mrowiska. Stare wrony podlatują, wrzeszczą. Po paru dniach Leszek wyciąga czyste białe kosteczki. Stolarczuki prześcigają się z nim w pomysłach. Pompują żaby przez słomkę i strzelają z nich piętą. Za to Leszek spija krowom mleko: wchodzi pod brzuch na czworakach i ssie jak cielę.

A ja, katechizmowy apostoł, łażę wokół nich, brzydząc się wronia-kami, a tym bardziej pompowaniem żab. Patrząc na to wszystko i oczy mi olbrzymieją, włosy rudzieją coraz żółciej z przerażenia.

Czasem przypęda krowy głupia Chwośka, która pasie u gospodarzy podobnie jak Leszek. Lat ma ze czterdzieści, a rozumu pięć razy mniej, pozwala wyczyniać ze sobą różne kawały. Nieco na uboczu spółki trzymają się siostry Goździanki - Maryśka i Zocha. Tańczą, skaczą przez sznurek, szyją sobie rękawiczki na zimę, grają w chowanego. Często bawię się z nimi i dlatego noszę przydomek „babski król”. Ale niech tam! Zośka pewnego razu załatała mi spodnie czerwoną nitką. Maryśka uprała koszulę w kałuży i wysuszyła nad ogniem...

Najwięcej śmiechu mamy z Chwośki. Czasem przychodzi w butach na wysokim obcasie - jeden jest czarny, drugi brązowy i z cholewką. Raz wplotła w warkocze gałęzie i udawała drzewo. Całe lato i jesień śpiewa pieśni wielkanocne, najczęściej „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Sama ułożyła piosenkę, która zresztą bardzo nam się podoba:

Czarny kwiat, smutny świat,  
serce twe ukochana,  
żegnaj mi, nie płacz mi,  
szkoda twoich łez, kochana.

Śpiewa, czy są słuchacze, czy nie. Rozsiada się pod drzewem, wybija takt patykami i zawodzi na cztery strony świata, grubo jak chłop.

Witka, który wykręca się podstępami od pasionki, nastraszyła raz, że Pan Bóg ukarze go jak starego Sołowieja: Sołowiej za młodu, haha, obwiązywał nogę szmatą, haha, żeby ojca oszukać, że jest rana, haha! Nu i co? I w końcu uschła ta noga. Pan Bóg, Pan Bóg sprawiedliwy - dokończyła na melodię „Wszystkie rybki śpią w jeziorze”.

Witek jak to Witek - zamiast się skrzążyć, zaciągnął Chwośkę między wierzby. Jak się później chełpił! Mówił nawet, że wcisnął jej „tam” kartofla. Ale Goździanki uważają, że to niemożliwe.

Do tych rzeczy jeszcze lepsi są Stolarczuki. Aż wstyd powiedzieć: kochają się ze swymi krasulami. Nawet wiercą patykami dziury w ziemi i kochają się z ziemią.

Wystąpiłem przeciw tym świństwom.

Wyspowiadałem się z pasionki księdzu Andrzejowi. Momentalnie się spocił. Jął wypytywać o szczegóły.

- I ty próbowałeś z ziemią?

- Nie - zaprzeczyłem, nie kłamię, na cały kościół.

- A z tą Chwośką próbowałeś? -Nie!

- A ci Stolarscy?

- Tak, oni i do Goździanek się dobierają. Ksiądz zasapał się.

24

25

- Wstyd - powiedział mi przez kratkę. - Wstyd. Powiedz im, żeby przyszli do spowiedzi w przyszłą niedzielę. I idź do Bruków, powiedz Stolarskiemu, niech dzieci strzeże przed szatanem. Pójdiesz?... A teraz mów: Boże bądź miłościw...

Stałem się świętym młodziankiem. Owładnęła mną słodycz przymierza z księdzem i z Panem Bogiem. Odmawiam co wieczór za każdą osobę Ojciec nasz, Zdrowaś Maria, Wierzę w Boga. Modłę się za wszystkich dokoła: za Stolarczuków, Chwoškę, Goździanki, ojca, matkę, Witka, sterczę na kolanach pół godziny. Matka stąpa wokół mnie na palcach.

- Księdzem będzie - zwierzyła się Sołowiejowej, sam słyszałem. - Łaskę poczuł...

Którejś niedzieli poszedłem do Bruków. Stolarscy jedli obiad, chłopcy nie wrócili jeszcze z łąki.

- Czyj ty? - zaciekawili się. Odrzekłem, że Kosego z Rabarbaru. - A w jakiej sprawie?

Więc powiedziałem, co Bolek, Antek i Kazik wyprawiają z wronia-kami, z żabami, co Bolek wyczynia z Chwošką. Napomknąłem też

o krowach i o ziemi. Stolarska się przejęła:

- Matko Boska! Moi chłopcy?

Stary wystukiwał o parapet szpik z kości. Roześmiał się.

- Zwyczajna rzecz... Taki sam byłem. To ten jakiś stuknięty. Czemuż chłopcom zabraniać.

Niech bawią się póki ich czas!

Zadrzałem.

- Wy, Stolarscy, całą rodziną pójdziecie do piekła! Całą rodziną! Zaszedłem jeszcze do Goździowej powiedzieć, żeby pilnowała córek przed Stolarczukami.

- Synku - wzruszyła się. - Chodź, pocałuję... Bóg zapłać tobie, syneczku... - I dała dwa złote. Rozpląkałem się na Stolarskiego.

- Już ja się z nim rozprawię, z tym bykiem! - wykrzyknęła.

Chyba się rozprawiła, bo nie minął tydzień, a zajechał do nas na rowerze sam Stolarski.

Poczęstował ojca papierosem, zapalili, tego śme-go. Na koniec zagadnął o mnie.

- Ty, Józek, zlej małego, co on opinię mnie psuje. Goździowa plecie po Brukach, że Stolarski byk świnia, że moje dzieci świnie, że ja dobieram się do jej dziewcząt. W ogóle. Twój mały był w Brukach

1 napyskował.

26

Ojciec nie jest głupi i machnął ręką na takie gadanie. Jeśli w Brukach nie lubią Stolarskiego, to na pewno nie z mojej winy. Ale teraz honor nie pozwala mi wrócić do Stolarczuków. A listopad już, przydałoby się ciepło wielkiego ogniska. Pod osikami palić ojciec zabrania. Z krzaków podglądam, jak bawi się moja kompania. Na przykład Stolarczuki wprowadzają do szałas Maryškę i Zochę. Potem dziewczęta wypuczają sukienki sianem. Chodzą, chodzą wkoło ognia i wracają do szałas z Chwošką. Jęczą, popłakują i wychodzą z niby-dzieckiem: lalką ze słomy i gałązek. Potem kopią w ziemi jamki, moszczą je trawą, usypiają swoje lale. A chłopcy pieką w ogniu kartofle, marchew...

Bawili się w domu. Wyrysowali na ziemi ściany, piec, łóżka. Potem udawali kłótnię: Zośka powiedziała Kazikowi: - Ty kurwiarzu! - On na to: - A ty to lepsza! - i ciach ją w twarz.

Szybko się pogodzili, bawiąc się w pieczenie chleba.

Słyszałem, jak Bolek opowiadał o tacie i mamie: że nie spał do północy i wszystko słyszał.

Ależ słuchali! Zwłaszcza Goździanki i Leszek, który nie ma ani ojca, ani matki.

Nie dość tego, Bolek wziął chłopców na bok, w krzaki. Powiedział, że z niego już prawdziwy chłop, i pokazał. Oni aż pobledli. Zaczęli próbować sami. Nic im nie wyszło. Uciekłem z kryjówki. Wstyd, hańba!

Na spowiedzi te popisy zatailem.

Ojciec powiedział, że dziś pasłem krowy po raz ostatni. Idzie zima.

Jest zima. Witek zrobił sobie narty z klepek. Czytam o kowbojach i o miłości. Postanowiłem skrócić pacierze o połowę, za to odmawiać uważniej. Nadchodzi z zoologii rozmnażanie ssaków. Rozdział o króliku znam na pamięć. Ciekawe, czy pani Ala będzie to opowiadała i czy się zaczernieni. Ona uczy pierwszy rok.

Była ta lekcja. Pani Ala kazała czytać po cichu i napisać w domu streszczenie. Wymigała się. Dziś mieliśmy rozdanie świadectw. Przeszedłem do siódmej klasy. Stopnie mam nienadzwyczajne.

Siódma klasa. Kierowniczka Kalinowska przyłapała mnie, jak czytałem pod ławką „Zmory”, za karę posadziła z Leonką. Leonka ma największe w szkole cyce, większe niż u nauczycielek. Zimuje trzeci rok w siódmej klasie. Nie może nijak pojąć, co to takiego równanie. Czemu z lewej na prawą. Na przerwach chłopcy łapią ją za głowę i tarmoszą za te cyce. Ja też mam ochotę, ale jak to zrobić. Co będzie, jeśli ona zamiast się bronić, opuści ręce. Co wtedy?...

27

Stało się. Znowu Stolarczuki. Tym razem Kazik, najmłodszy, on siedzi drugi rok w siódmej klasie. Zmówił się z innymi i gdy tylko pani Ala wyszła, złapali mnie i Leonkę i popchnęli nas do siebie. Cisnęli w dziesięciu, a myśmy z Leonką odpychali się z całej siły rękami. Ona złapała mnie za włosy i szarpała, głupia, jakbym z własnej woli się pchał. Kazik Stolarczuk krzyknął, że nic nie czuję, bo mam zawiązanego. Odpędzili dziewczęta i kazali mi pokazać, siłą przewrócili. Udało mi się oswobodzić nogę i wyrznąć Kazika w nos obcasem, gdy mnie rozpinał. Krew mu poszła, teraz chyba się odczepią.

Odczepili się.

Co oni wszyscy wiedzą... Ja planuję uciec z domu, do prawdziwych ludzi, którzy nie zajmują się takimi świństwami. Do ludzi mądrych, odważnych, szlachetnych. Dokończę tylko siódmą klasę i zaraz w czerwcu ucieknę.

Interesuje mnie, co może być za horyzontem od zachodniej strony. Ze wszystkich stron czernieje las, tylko od zachodu niebo styka się z gołym wzgórzem. Na wzgórzu rośnie jedno drzewo, okrągłe. Może to grusza... Może dąb? W książkach wciąż czytam o dębach, a w naszych lasach rosną tylko olchy, brzozy i sosny. No i różne drobniejsze drzewa, jak osika, jarzębina, kalina. Najładniejszym drzewem jest brzoza. O, jak bardzo lubię brzozy. Nie wiem czemu, ale wydają mi się skromne, wstydliwe. Są białe, wysokie, z małymi zielonymi główkami. Najwyższa rośnie na górcie przy rowach. Gdy krowy pójną pod osiki leżeć, wspinam się na nią aż do ostatnich gałęzi, żeby zobaczyć, co widać za samotnym dębem. Widać wielką dolinę, coś jakby łąki nad rzeką. To chyba Narew. A ta wieża, co miga w dni naj słoneczniej sze, to chyba kościół. Co to za kościół. Może surażski. Może łapski. A może to Pałac Kultury w samej Warszawie? Nie, to niemożliwe, za daleko do Warszawy. Nigdy nie byłem w Warszawie. Co to właściwie za miasto. Tyle się o niej pisze. Grzesiek Dąbrowski studiuje w Warszawie. Opowiada, że w Warszawie ludzie są delikatniejsi w obejściu, na wyższym poziomie. Chyba ucieknę do Warszawy.

Często wspinam się na brzozę. To żadna sztuka - wystarczy złączyć stopy paskiem od spodni. Wtedy można objąć mocno pień kolanami i podciągnąć się na rękach. Skóra brzozy jest biała, nieco żółta, jakby trochę opalona, miejscami chropawa. Pachnie sokiem. Sok brzozowy ma smak nie do opisania. Jeśli w kwietniu wbije się gwóźdź w odzio-

28

mek, z ranki zacznie kapać zielonkawa ciecz, słodka i chłodna jakby ze środka ziemi. Wiem, że to barbarzyństwo ranić brzozę. Ale każdej wiosny próbuję. Potem zalepiam dziurkę gliną. Znowu stanąłem pod brzozą. Tym razem słońce zachodziło na wprost samotnego dębu, kopuła drzewa leżała na purpurowej tarczy. Poziome chmury rozpały się na niebie jak

wielkie czerwone wargi. Było duszno. Odpiąłem pasek, założyłem go na nogi. Ruszyłem w górę, coraz prędzej. W dole chrzęściła koniczyna w pyskach krów. Spojrzałem w niebo - działa się ze mną coś niezwykłego. Jakby od białego pnia, skądś od moich kolan i brzucha narastało oszałamiające napięcie. Świat się zakotył, chwiało się z moją brzozą. Ostatkiem woli udało mi się wykonać jeszcze kilka ruchów wzwyż, mdlejącymi rękami uchwycić pierwszej gałęzi, przylgnąć spoconą twarz do kory. Gdzieś obok wis-nęła przenikliwie czajka. Palce mi się rozwarły. Runąłem.

List

Drogi Redaktorze, Drogie Redaktorki i wszyscy Pracownicy Redakcji i Partii, pomóżcie mi rozwiązać taką sytuację. Mnie rodzice szykują na gospodarza. Mam piętnaście lat. Jestem w domu do pomocy i moje życie jest na poziomie pańszczyzny z XIX wieku. Gonią mnie do najcięższej roboty, jak: kosić, podawać snopki na ruszt, wywalać gnój, orać, mieszać zaprawę do podmurków itp. A jak jest wolny czas, to pasę krowy. Wstaję latem o 4 rano. Z krów naszych pożytku mało, bo ojciec nie idzie za światłem postępu i nie wprowadza rasy. Tak samo nie dla mnie niedziele i święta, wciąż pasienie. Do tego w żaden sposób nie mogę rodzicom dogodzić. Koszę nie tak, wiązę nie tak, gnój rozrzucam nie tak, wszystko, co robię, jest nie tak. Dnia 22 lipca, gdy cały świat obchodził Święto Odrodzenia, ja pasąc krowy rano zasnąłem i krowy weszły w naszą seradelę i ją napoczęły. To ojciec przyleciał i mnie śpiącego tak zbił, że gdy obudziłem się, zauważyłem na całym ciele większą ilość siniaków. Żeby to raz. Ja planuję uciec z domu, choć nie wypada, bo ojciec zostanie sam z matką i nie wiadomo, co będzie. On ranny w nogę, ona kaszląca. Myślą tylko, czy dożyją do śmierci. Panie Redaktorze, chodzi mi nie o siebie, ale o dobro społeczeństwa. Ja chciałbym wiedzieć, czy to w porządku, jeśli jednostka utalentowana marnuje talent i zapał. A wszystko przez mego brata Witka, on myśli tylko o sobie i do tego w krzywym zwierciadle. Mego starszego brata rodzice dali do szkoły metalowej i rozpuścili go. On szkołę rzucił, dom rzucił, aż na Śląsk uciekł. Mój brat jest, można powiedzieć, chuliganem. Ma siedemnaście lat, a już pali papierosy, wódkę miesza z piwem, gra w karty, obzywa nauczycieli durniami, czepia się milicji, przeklina na starsze osoby. Ja myślę, że z takiej osoby wyrośnie postać

30

złodzieja spekulanta, bo on myśli tylko, co zakombinować i sprzedać. A to oponę, a to cement, a to benzynę, a to kielbasę, zależy gdzie pracuje. Chciałbym osobiście porozmawiać z Towarzyszem, ale nie mam pieniędzy, żeby do Redakcji przyjechać i opowiedzieć dokładnie o moim życiu, a także o życiu mego brata, którego chcieli uczyć dalej. Ja na pewno bym szkoły nie rzucił. On miał takie życie, gdy przychodził z pociągu: Wiciu, może chcesz marmolady. Wiciu, może zjesz jajeczko. Wiciu, masz to, Wiciu masz tamto. Dawali mu wolną wolę, co chciał, to robił, gdzie chciał, tam szedł, co chciał, to jadł. Dawali mu pieniądze oraz wszystkie smakołyki, to jest kielbasę, śmietankę, jabłka, a mnie natomiast, jak to się mówi, figę z makiem. Mnie: leć, przyprowadź konia, bo Wicio zmęczony. Jemu: trzeba uszyć dla Wicia nowe spodnie. A mnie: masz Pawełek, noś Witkowe spodnie, jeszcze nie bardzo porwane. Takie jest życie młodszego brata. A teraz, czemu jego wzięli do szkoły, a mnie zostawili na gospodarza, choć prawnie starszy powinien zostać na gospodarstwie. A to dlatego. Witek żadnej roboty nie zrobił jak trzeba. Zawsze się wykręcił, na mnie zwałił. To rodzice powiedzieli, że on na gospodarza się nie nadaje. A ja jestem taki, że lubię porządek. Jak coś robię, to ze staraniem się. U mnie lipy nie ma. Więc rodzice udumali, że ja lepiej na gospodarza się nadaję. To ja pytam Towarzysza Redaktora, dlaczego są takie czasy, że człowiek porządny przegrywa swoją przyszłość, a chuligan ma, co chce. Nasze społeczeństwo daleko na tym nie zajędzie. Wystarczy popatrzeć na mego brata. Rzucił szkołę i jeździł pociągami po całej Polsce, był we Wrocławiu, w Szczecinie, w Krakowie, w Warszawie. Wiem dobrze, gdzie, po stemplach, bo przychodziły nakazy, żeby ojciec płacił kary za przejazd bez biletu. Witek pisał chytne listy: Kochana Rodzino, fiu bzdziu, tego

śmego, a na koniec: przyślijcie sto złotych, bo umieram. Adres taki a taki. Potem poszedł do roboty w delegacji. I teraz, gdy przyjedzie do domu, ojciec go szanuje. Bo Witek cwany: to papierosem poczęstuje, to ćwiartkę postawi. A do mnie: siemasz Pawełek, jak leci. Ja jakbym go zajechał grabiami po tym przedziałku, to dopiero by poleciało. Ze mnie jednostka utalentowana w matematyce. Proszę Pana Redaktora pomnożyć w pamięci dwie liczby i zobaczyć na sekundniku, ile czasu Pan Redaktor będzie liczył. Na przykład  $27 \times 183$ . Na pewno pod minutę, choć Towarzysz ma wyższe wykształcenie. A dla mnie pół minuty i to za dużo.  $27 \times 183 = 4941$ . Proszę sprawdzić piśmiennie.

31

Z innych zdolności mam silną wolę. Może nie wypada pytać, ale ile razy Pan Redaktor podciągnie się na jakiejś gałęzi, to znaczy na drążku? Pewnie ze trzy razy. Ja też zaczynałem od trzech razy, lecz postanowiłem podciągać się dwa razy więcej niż Witek, a Witek podciągał się na rękach piętnaście razy. To ja wytrenowałem się na 34 razy. Przy okazji proszę napisać, ile razy podciągają się tacy sportowcy, jak Sidło, Chromik i Krzyszkowiak. Aleja o sporcie, a są ważniejsze sprawy, jak np. gospodarstwo.

Ja się pytam, czemu chłopcy z miasta mają tyle fachów do wyboru, jak: kierowca, murarz, konduktor, milicjant, inżynier, zegarmistrz, matematyk, i jeszcze co najmniej z pięć do dziesięciu fachów, a na wsi można być tylko rolnikiem, i wybór tym mniejszy, im mniej synów w rodzinie. A dla jedynaka całkiem wyboru nie ma, mus zostać gospodarzem. Co do mnie, ja nie chcę uciekać z domu, ja chcę się zwolnić z powodu mego talentu oficjalnie, żeby ojciec nie miał pretensji. Drogi Redaktorze, Drogie Redaktorki i wszyscy Pracownicy Redakcji i Partii, pomóżcie mi dostać się do jakiejś szkoły w mieście albo do pracy, będę się uczył wieczorowo dla dobra Ojczyzny, a ponad 60 procent swego zarobku będę oddawał dla rządu Polski Ludowej. Pozdrawiam Was Wszystkich. Jeżeli nie wierzycie, proszę przyjechać. Do widzenia. Paweł Kosy, wieś Rabarbar.

Gnojek

Żołnierz na urlopie ma w Rabarbarze przyjęcie życzliwe i ulgi takie, jakby był czymś pośrednim między sierotą, jedynakiem a synem organisty. W sklepie postawią mu piwo. Zrzucając składkowe na litra, nie wezmą od niego grosza. Może upić się do nieprzytomności, a słowa nieprzychylnego nie usłyszy. Wyrwał się, biedaczek, miał prawo... - powiedzą kobiety. Wstęp na zabawę ma bez biletu. Obrońcy granic nie płacą za nic - powie naczelnik straży i do tego poczęstuje sportem. O, starzy papierosami zaczęstowaliby żołnierza na śmierć, gdyby nie koniec urlopu. A gadać mogą z żołnierzem całymi godzinami, choćby był ani be, ani me. Nie o jego gadanie starym idzie, o własne wspominki chodzi z jedynej wyprawy życia, o posmakowanie owego szczęśliwego momentu między tym, jak ojciec bić przestał, a tym, jak zaczęło się bić swoje dzieci.

Podobnie gościliśmy Witka. Na stole jedna półlitrowka już pusta i ćwiartka zdecydowanie napoczęta. Ojciec rozparzony, matka rozmięczona, Witek czerwony, gada, gada, przeważnie o kapralach. Kawałami sypie i śmieje się pierwszy. Ja siedzę z boku nadęty. Zawsze mu zazdrościłem i nieodmiennie mam go za głupka. A on rozlewa ostatki do szklanek i odwróciwszy butelkę dnem do góry, miętosi palcami szyjkę, niby że krowi cycek doi.

- Hy hy hy - śmieje się ojciec rozbawiony.

- Wiciu, ha ha! Oj ty! - Matka nie może się nadziwić. Głupek - myślę - co za głupek.

On wznosi szklanę.

- No to zdrowie ojcieca, mateki i Paweła - zasuwa debilnie.

- I naszego... - Matka gubi się, szukając słowa, chciała pewnie rzec coś równie dowcipnego. -

...Witusia - kończy bezradnie.

33

Koło czwartej wyszliśmy na dwór. Było parno, duszno, chmury narastały jakby do burzy. Ulica świeciła pusto, niczym przesieka w lesie. Witek odpiął pas, przewiesił go pod

naramiennikiem. Oparliśmy się o sztachety, ojciec usiadł na ławce - i w tym momencie w głębi ulicy ukazały się dwie pary. Ojciec aż odkręcił się w tamtą stronę całym ciałem. Szli chyba z pociągu, bez pośpiechu: dwie dziewczyny i dwóch facetów. One były w szpilkach i, co się czuło z daleka, w wiotkich sukienkach. Wyższa - czarna utapirowana. Niższa - ruda przycięta w grzywkę. Kawalerowie nieśli marynarki przerzucone przez ramię, świeciły się im białe koszule, wahały krawaty. Wyższy wyglądał na mocno łysiego. Niższy młynkował w palcach ciemnymi okularami. Gadali dużo, śmiali się. Wciąż nie skręcali do nikogo, szli i szli. Ujrzeliśmy, iż panny mają mocno wycięte dekolty, opaloną skórę, rzęsy zrobione na czarno i przedłużone aż po uszy. Faceci wyglądali na trzydziestoletnich, z tym że wyższemu glaca błyszczła jak wschodzący księżyc.

- Do kogo idą? - nie wytrzymał ojciec. Minęli Gawęckich, minęli Graba, Sołowieja. Jeszcze Bosak, po nim już my, za nami Gołąb. I to koniec wsi. Do Gołębia raczej nie mogli iść, on nietutejszy. Przyszedł do Rabarbaru w przystępy, owdowiał zaraz po ślubie, żyje w pojedynkę. Nikt go nie odwiedza nawet w odpust. Więc albo do Bosaka idą, albo do nas. Patrzyliśmy z nadzieją i w napięciu. A oni minęli Bosaków! Ojciec wstał, Witek wyprostował się. Czekaliśmy. Nieznajomi, gadając, śmiejąc się, doszli na wprost naszej furtki i... poszli dalej. Nawet się nie obejrżeli. Wtedy Witek odkaslnął, jakby wstydział się naszego napięcia, i rzucił za nieznanymi, wcale nie cicho:

- Ale de! Z takimi się pocackać!

Ojciec zachichotał. Powiedziałem bratu, że się wygłupia. Tamci szli dalej bez żadnego wrażenia. Witek przyłożył dłoń do ust i zagrzmiał:

- Dwie de i jedna pała!

Dochodzili do Gołębia. Gdy echo odbiło od lasu „ała! ała!” - łysy odkręcił się. Oddał marynarkę dziewczynie i ruszył z powrotem. Ojcu śmiech zastępnął na policzkach. Witek naprężył się. Łysy podszedł, zatrzymał się o dwa kroki. Teraz dopiero zobaczyliśmy, jaki to kawał chłopa. Był o pół głowy wyższy od Witka, szerszy i nalany w sobie. Pod czterdziestkę.

- Przeszkadzałem panu? - powiedział niegroźnie.

Z niebywałą u mnie przytomnością wtrąciłem coś w rodzaju: ależ, proszę pana, zażartował sobie, na żartach pan się nie zna?... Łysy odstąpił krok, jakby chciał odejść.

- To niech ten kolega lepiej uważa na słowa... Witek odzyskał władzę w języku.

- Dobra, dobra! Nie pan mnie będziesz uczył! - Tu parsknął i za-dowcipkował: - A tak w ogóle, to chesz się pan do góry!

Łysy zaniemówił.

- Witek, co ty! - szepnąłem. Tamten stał jakiś niezdecydowany.

- No, won! - zakomenderował Witek.

Łysy spurpurowiał. Podszedł tak blisko, jakby chciał sprawdzić, czy Witek nie nosi guzików na zapalkach; ręce przygiął w łokciach.

- Ach ty chamie - wysyczał.

- Zostaw! - krzyknąłem do brata.

- Chamie?! - wrzasnął Witek na całą wieś. I momentalnie pchnął faceta w brzuch kolanem z taką siłą, że rzuciło nim na sztachety po drugiej stronie ulicy, i nie zwlekając wsiadł z pięściami. Od strony Gołębia pędził ten drugi, z rozbiegu kopnął Witka w krzyże. Brat wyszarpnął pas, świstał wokół siebie sprzączką, tamci odskakiwali, zasłaniając się łokciami. Ojciec wyjął spod ławki kołek, rzucił mi do rąk.

- Lej ich! Lej gadów!

Sam oburącz schwycił sztachetę i szarpał ją ku sobie. Stałem z kołkiem w ręku, niezdecydowany, kolana mi się trzęsły. Tamci trzej kotłowali się przy płocie, panny biegały dookoła nich, popiskiwały. Ojciec zrezygnował ze sztachety, obejrzał się. Mnie zobaczył, stojącego tak w pół kroku.



- Brata ratuj, gadzie! - Zakręcił się w miejscu, wyrzwał mnie pięścią, wyszarpnął kołek i rzucił się w kłębowisko. Ze wsi nadbiegali mężczyźni. Nieznajomi fugowali w pole, w żyto, Witek biegł za nimi i pohukiwał na postrach - trzy głowy wśród kłosów sunęły jak po jeziorze. Dziewczęta stały na środku ulicy z marynarkami w ręku, popłakując, farby spływały im po policzkach. Po minucie wynurzył się z żyta Witek, zadyszany.

- No i co lalunie... - wysapał, zapinając pas. - Pouciekały wasze zające, co?

Odwróciły się sztywno, wyłuskiwały z toreb chusteczki. Patrzyłem z zaciśniętymi zębami. Mężczyźni kręcili się nerwowo.

34

35

5565

- A teraz pogadamy z braciszkiem... - Witek wziął mnie pod rękę i nagle na oczach wszystkich - ojca, sąsiadów, dziewczyn - kopnął w tyłek. - Masz gnojku...

A ojciec, jakby usprawiedliwiająco go wobec sąsiadów, dorzucił:

- Jest racja czy nie, jak swojego biją, trzeba bronić! Żywo pokiwali głowami. Gołąb zapytał, o co poszło.

- O obrazę - wyjaśnił prędko Witek. - Chamem mnie nazwał. Znowu pokiwali głowami.

Dobrze zrobił, przyda się łobuzom nauczka. Ojciec położył kołek pod ławkę, rozejrzał się.

- No, chwała Bogu, że się dobrze skończyło. - Zainteresował się dziewczętami, które wciąż wyglądały na żyta. - Wy, kobietki, idźcie na stację, wasze chłopcy pewnie już tam są...

Poszły, postukując szpilekami o bruk.

- Ale baby! - westchnął bezzenny Gołąb. I raptem zerwał się z ławki, jakby coś przypomniał.

- Hej, hej! panienczki! A do kogoście przyjechali?

Nie odpowiedziały.

Matura

Ostatniej przed maturą nocy balowałem do drugiej w Kościanach na odpustowej zabawie.

Grali Szewcy, najlepsza orkiestra po tej stronie rzeki: Dębowski na sakcie, Groch na trąbce, Sak na harmonii i Wichur-ski na dzazie. Szewcami nazwano ich za pijaństwo. Na przykład Wa-cio Dębowski miał trzy sprawy o pobicie żony. Groch dorobił się alimentów po każdej stronie rzeki, a Wichurski nawet się topił. Emzetka zniosła go pijanego z drogi, wylądował pod mostem z bębniem na plecach, jak spadochroniarz. Płynął sobie środkiem Narwi, a tamci biegli wzdłuż brzegu, padając ze śmiechu, aż sięgnawszy nogami dna, wylazł na trawę.

Instrumenty Szewcy mają pierwszorzędne, za gospodarskie pieniądze. Grają najnowocześnie: kawałki nutowe z „Nowej Wsi” i radiowe ze słuchu. Można być pewnym - jeśli gdzieś najmuje się Szewców, zabawa będzie na medal. Do dziesiątej pokazują artyzm, po kolacji, gdy rozpalą się wódką, z ich trąb i bębniów doprawdy bucha ogniem. Sala nabiera gorąca, sto sprężyn w każdym się rozkręca i nie trzeba wstydić się potu. Bójki, jeśli bywają, to zawsze po dziesiątej.

O północy przygadałem blondynkę, która wpadła mi w oko. Miała grzywkę, pod grzywką skośne ślepia, i tańczyła najzwinniej. Nazywała się Ola, przyjechała do wujka w Kościanach aż z Wrocławia. Dostałbym i adres, i zdjęcie chyba też - we łbie szumiało mi półtora litra w ośmiu, gadkę, pamiętam, miałem wyjątkową, co zdanie, to śmiech. Tańczyło mi się lekko, a gdy saksofon poskowytywał „Only you”, całkiem zapominałem, że jestem rudy, ryży jak rdza, i przytulaliśmy się co krok to ciaśniej. O drugiej podszedł Burek z Kościan, strzelając oczyma na bok, i powiedział mi w tańcu:

- Ty, zdaje się, że to wasz facet leży czerwony...

37

Skrzyknąłem Gienka, Wacka i resztę z Rabarbaru, wypadliśmy. W smudze światła siedział koło ustępu Antek, na dłoni trzymał, jak pomidor, swoje oko. Od palców biegła ku rzęsom czerwona żyłka.

- Ratujcie! - jęczał. - Jezu, moje oczy. Gienek pierwszy odzyskał myślenie.

- Do pogotowia! - zawołał i skoczył do motoru. Skoczyliśmy i my, i już gnaliśmy asfaltowym torem do Białegostoku; Antek przywarł twarzą do Gienkowych pleców, pojękiwał, nasze motocykle wyły. Dusilem gaz do oporu. Po kwadransie wpadliśmy na Lipową, sunęliśmy pod czerwony brzask pustymi ulicami jak warczące widma, prosto do szpitalnej bramy. Gienek zastukał i w otwierające się drzwi pchnął Antka. Kobieta w białym fartuchu spojrzała na jego oko i nasze rozluźnione krawaty.

- Ach, tak... - powiedziała i znikła z naszym szefem. Staliśmy, czekając.

To było straszne. To że oko i to że Antek, nasz szef. Nie święty on, prawda, ma na swoim koncie parę zębów, ale oka nikomu nie wybił. Boże jedyny, rozumiem nogę złamać, palec stracić. Ale oko...

W drzwiach ukazała się czyjaś głowa w okularach. Pewnie pani doktor.

- I co? - podskoczyliśmy. - Da się uratować?

- Wynoście się! - warknęła. - Won, bandyci!

Zeszliśmy ze schodów, oglądając się. Bandyci. Jacy z nas bandyci. Toż to robota burków kościańskich! Wznowili pewnie stare porachunki, dawno zaklepane. Po Wielkanocy Antek przyjechał na ostatni urlop, już po ubranie cywilne, i poszedł do Kościan na zabawę. Zaczepili go za dziewczynę, właściwie za nic. Był sam i w pojedynkę narobił z nich bigosu. Rozłożył po kolei pięciu, dosłownie pięciu znokautował niemal jednocześnie i kiedy krzyknął: Kto jeszcze? - nie było odważnych. Tak opowiadają ci, co widzieli. Potem na zgodę wypił z pobitymi pół litra. Zbratali się do tego stopnia, że Burek - ich kościański szef - odwiózł Antka motorem do domu.

Nasz szef ma w ręce dynamit, a nie zawsze wie, co z nim robić. Czasem bywa, wyciągnie łapę nie w porę. Na szczęście charakter ma pokojowy. Pierwszy nie zacznie, nienawiści w sercu za długo nie chowa. Wyżywa się w sporcie. Wróciwszy z wojska, zmontował w Rabarbarze elzetesowską drużynę piłki nożnej, i proszę - nie przegraliśmy na razie żadnego meczu. Nawet z Kościanami zremisowaliśmy, choć gramy tylko w ósemkę. Nie stać nas na pełną jedenastkę, Rabarbar ma za

38

mało młodzieży, ale co tam, nie będziemy z innych wsi pożyczać. Antek gra w ataku jako środkowy. Zawsze kropnie ze trzy gole, taki spec. Służył w marynarce. Jakie kawały zna, i na rękach chodzi, i śpiewa piosenki morskie. A tu masz, nagroda... Więc staliśmy oto przed pogotowiem, słońce jeszcze nie weszło, mgły pełno, a my dopalamy papierosa, jak gospodarze na łące stojący przed metrową trawą: ostatnie sztachnięcie, kosy w garść i do roboty! Tak myśmy stali przed zemstą, która czekała na solidne podejście.

- Jedziemy. - Gienek zadeptał peta. - Ty, Paweł, zdawaj swoją maturę. Pogadamy wieczorem. I pojechali. Zostałem sam, z widokiem rozkrwawionego Antka przed oczyma i wobec matury. Poszedłem na dworzec czekać ósmej. Obmyłem twarz wodą, niezdatną do picia, w wucecie przetarłem mokrą chusteczką kołnierzyk koszuli, który na zabawie szerniał jak onuca, wyglansowałem śliną buty i przylizałem włosy. Tak orzeźwiony, przejrzałem ściągę z wzorami z fizyki. O ósmej piętnaście stanąłem przed komisją. Dyro przewodniczył. Fizę zdałem na cztery, historię na trzy, polski na trzy, a z matmy pięć dali bez egzaminu - w nagrodę za piątki na okresy.

Zaczekałem na pozostałych dojeżdżaczy, czyli dojeżdżających do szkoły pociągiem, przyglądając się, jak miejskie matki trzęsą się niby osiki, z czekoladkami i kanapkami w rękę. Mój Mareczek... żeby się nie załamał... taki wrażliwy... O dwunastej poszliśmy w pięciu na trawę około dworca i wypiliśmy na wiwat pięć siekaczy, pijąc pod boczek, czyli wspierając się ręką o zebra. W pociągu zdradziecko sen mnie napadł, śniła mi się orkiestra. Wszyscy muzycanci - Dębowski, Sak, 1 Groch, Wichurski - mieli czerwone twarze, bez przerwy grali

hejnał, a Ola stała pod ścianą i kościańscy odstawiali z nią cyrkowe numery: rzucali nożami o centymetr od głowy, od szyi, od ręki... Przespałem swoją stację, musiałem drałować z powrotem osiem kilometrów.

Ojciec, ujrzawszy darmożjada, sięgnął do szafy po pas.

- Gdzie ty był! - krzyknął rozpaczliwie, a gdy wyjaśniłem, że już po maturze, roztrząsał się jeszcze bardziej i bez słowa odszedł przeorywać kartofle. Matka, chorująca w łóżku, rozplakała się pod pierzyną ze szczęścia. Ja zaś, zjadłszy chleba ze smalcem i mlekiem, kropnąłem się spać.

Obudzili mnie kumple. Zmierzchało już, żaby rechotały w sadzawce. Ojciec zeskrobywał piach z butów, szykował się do spania. Gierek chodził ponury od drzwi do komina, z rękami w kieszeniach. O maturę nawet nie pytał. Mają mnie za zdolnego, takiego co to mu czwórki

39

same włożą, bez kucia. Nie czekając, co powiem, postawił ćwiartkę na stole. Nalali mi najwięcej, a prawdę mówiąc, naftę bym wolał pić tego wieczora niż wódkę. Ojciec na jej widok przestał obcinać paznokcie u nóg. Odłożył nóż, wydobyl z szafy półlitrowkę.

- Doczekał sieja... - Mówiąc to, nawet na mnie nie patrzył. Zaraz po pierwszej szklance rozgadał się jak baba.

- Wyleczą oko czy nie wyleczą, darować nie możecie. Nie o was tu idzie, zasrańców, ale o wioskę. O honor. Za moich czasów...

I zaczął starą gadkę o tym, jak to kiedyś Rabarbar rządził wszystkimi wioskami dokoła. Co niedziela piętnastu gerojów rabarbarskich schodziło się u Laskowskiego w chacie. Rozsiadali się na ławach pod obrazami, każdy miał w ręku nóż i osełkę. Spluwali na osełki i szlifowali ostrza, próbując na paznokciu i na włoskach koło przegubu, jak tną. Pod wieczór jeden z nich, podług kolejki, zaprzęgał konia i jechali furą, dokąd mieli ochotę, bo należał do nich cały świat.

- Wy honoru pilnujcie! - plół ojciec. Denerwował mnie.

- Przez taki honor wszystkie wojny! - odpaliłem. - A zresztą pilnujemy. Mecze wygrywamy! Zaniósł się śmiechem.

- Różaniec też najładniej śpiewacie, co? Ech, wy...

Nie, nie mogliśmy kościańskim przepuścić. Nie dlatego, że oko za oko, ale że wieś czekała, co poczniemy. A sprawa niełatwa. Wybrać się do Kościan - można oberwać dubeltowo. W swoim domu nawet baba mocna. Do nas, do Rabarbaru, kościańscy nie przyjdą. Po pierwsze, tacy głupi to oni nie są, po drugie, w okolicy nasze zabawy się nie liczą: potańcówki pod gruszami wyszły z mody, a nasza świetlica dopiero w budowie.

Kazik zaproponował, żeby dopaść ich w Guzowie. To taka wieś trzy kilometry od Rabarbaru. Rządzą w niej dziewczęta. Chłopcy powyjeżdżali do miasta i na Śląsk, ci zaś, którzy przyjeżdżają ze szkół na wakacje, są do niczego. Łażą po wsi nadęci, jakby z Warszawy wracali albo z Paryża. Za to dziewczęta wspaniałe. Przewodzi im Wanda, sklepowa. ZMW założyła i babski LZS, dogadała się z Fastami, a w tamtejszym kombinacie pracuje ze dwa tysiące dziewcząt. I te dziewczęta przyjeżdżają do Guzowa na zabawy. Przezywamy je szpulki, lecz każdy woli szpulkę niż wsiowego ondulowańca. Są modniejsze, bardziej wygadane i przystępniejsze. Zresztą one też wsiowe, tylko przetarły się w fabryce.

W niedzielę pojechaliśmy do Antka do szpitala: nas siedmiu i jego matka. Gdyśmy tak licznie zasiedli na białych taboretach wokół jego

40

łóżka, a on z bandażami na oczach i włosach oparł się o poduszkę, poczuliśmy, że scena jest piękna i wzruszająca. Widać było po ludziach. Na łóżku obok facet z gębą zagipsowaną jak w kagańcu, odkręcił się do nas i przyglądał rzewnie. Drugi gość, zdaje się kierowca - a miał uszy pomalowane na zielono - przysiadł do nas z taboretami, jakbyśmy do niego przyjechali. Inni też patrzyli na nas i poszeptywali, sam słyszałem, jak siostra im wyjaśniała: - To

elzetesowcy, a to ich przewodniczący... - I szmerku jeszcze przybyło. Ludzie widać lubią sztamę i prawdziwą przyjaźń. Nie powiem, przyjemnie nam było to słyszeć.

Ale nie bardzo wiedzieliśmy, z czym się jedzie do szpitala. Matka przywiozła Antkowi trochę chałwy, dwie cytryny i inne miejskie pomysły. Bolek podał torebkę czereśni, jeszcze niedojrzałych, Wacek konserwę rybną, Kazio pałkę suchej kiełbasy po siedemdziesiąt sześć, postawił się Kazik, ja wsunąłem na stolik męską książkę „Komu bije dzwon”, lecz Bolek puknął się palcem w czoło i dopiero skapowałem, iż rzecz jest nie na miejscu. Jeden Gienek umiał się znaleźć. Nie bez powodu zastępował nam szefa. Oto rozejrzał się po sali, czy gdzie blisko nie stoi siostra, nachylił się kłapą nad stolik i zaraz usłyszeliśmy, jak charknęło mu zza pazuchy. Zaruszaliśmy nosami. Antek klepnął się po kolanie.

Starczyło ledwie na jedną kolejkę - daliśmy spróbować temu z zielonymi uszami - a przecież od razu zrobiło się nam ciepło i serdecznie, jak w Wigilię po opłatku. Szef pokiwał zwojem bandażu, pomilczał z minutę i westchnął.

- Chłopaki... - Jeszcze raz zaczerpnął oddech, głęboko. - Chłopaki. To... Flą z Kościan.

Palcem, gnojek!

- Palcem?!

Patrzyliśmy na obandażowanego szefa i nie ulegało wątpliwości: policzone są dni Floma. Jezu, Flą! Gdyby Burek, gdyby Zgaga czy który inny z tamtejszych kozaków. Ale Flą, ten zgnyz bramkarski, dupa wołowa...

- W sześciu mnie napadli. - Antek dyszał ciężko. - Był Zgaga, był Burek i jeszcze czterech było. Nie daliby rady, gdyby ten ciacziak palcem nie dźgnął...

Matka płakała, rękawy jej mokły: - Jest gdzie na świecie sprawiedliwość... - Uspokoiwszy się nieco, opowiedziała o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce przed wojną, w dzień odpustu świętego Rocha. Oto z przepelnionego pociągu wypadło na zwrotnicach dwóch: niejaki Rogulski, człowiek pobożny i pracowity, oraz stary Onufry, złodziej i pijak, który miał sztywną nogę. I co? Rogulskiemu ucięło

41

stopę, a dziadkowi kolano od wstrząsu się rozruszało, zaczął chodzić normalnie.

- Nie ma sprawiedliwości na świecie - popłakiwała matka - nie ma...

- Sami ją zrobimy - na to Antek.

- Nie zrobisz już, nie zrobisz - szlochała. - Trzeba by wszystkich okaleczyć, wtedy byłaby dla ciebie sprawiedliwość.

Antek zachnął się.

- Co też mama wygaduje!

Powiedzieliśmy szefowi o naszym planie. Zastanowiwszy się, pochwalił dalekowzrocność i postawił sprawę techniki. Noże i sztachety wykluczył bez wahania - to narzędzia dla chamów ostatnich, nie dla sportowców. Od razu lżej mi się zrobiło. Ale czy pięści wystarczą. W przypływie gorliwości zaproponowałem broń, o której czytałem w angielskim kryminale: woreczki z piaskiem, w kształcie kiszek. Ciężkie, przystające do ciała jak milicyjna pałka, nieczyniące śladów. Antek zwrócił twarz ku mnie.

- Lubię cię, Paweł - rzekł - ale ty swoje woreczki wsadź sobie wiesz gdzie...

Dowiedzieliśmy się jeszcze co do oka, że na razie nic nie wiadomo, i zaraz siostra obwieściła zakończenie odwiedzin. Wszyscy podaliśmy szefowi rękę, każdy po kolei powiedział: - No to trzymaj się, stary... - Obiecaliśmy wpaść w następną niedzielę. Siostrze Gienek wcisnęła na boku stowę, żeby Antka lepiej doglądała, bo słyszeliśmy, zjedzeniem i opieką nie za dobrze tu. A nasz szef kawał chłopa, bez repety nie wyżyje.

Co do następnej niedzieli, wstydę się przyznać: nie pojechaliśmy. Zostaliśmy we wsi. Starzy zapędzili nas do roboty przy remizie. W Rabarbarze tak już jest, że LZS robi dużo szumu, ale w razie czego do roboty z łopatami i z taczkami suną starzy. Tak było z układaniem chodników, z budową magazynu. Pewnie dlatego, że starzy spodziewają się dożywać końca w

Rabarbarze, a każdy z nas, tak po prawdzie, rozgląda się tylko, dokąd by szczęśliwie prysnąć. W myśl zobowiązania remiza miała stanąć gotowa 22 lipca. Zobowiązania w ogóle to duży bajer, ale w tym wypadku powiat obiecał za terminowe wykonanie dać zaraz krzesła, stoliki i adapter. Więc starzy uwijali się przy remizie jak dzieci, trzeba było dołączyć. W niedzielę i we wszystkie popołudnia kryliśmy dach, układaliśmy podłogę, schody betonowaliśmy. Całą siódmką. Antek, gdyby był, też by pracował z nami. Majstrowie chwalili nas za pilność. I znowu wstydę się przyznać: w następną niedzielę nie pojechaliśmy do Antka. Gienkowi wypadł dyżur w fabryce. Bolek wystąpił u siostry w Białymstoku jako ojciec chrzestny, ja miałem tydzień egzaminów na politechnikę. Dopiero w trzecią niedzielę, miesiąc po kościańskiej zabawie, pięć dni przed otwarciem, zebrał się wszyscy na placu koło remizy. Było trochę guzdrania, bo Gienkowi zabrakło benzyny, a Bolek kleił dętkę. Gdyśmy odjeżdżali, Laskowski skądś z dachu przypomniał nam, postukując młotkiem:

- A nie bawcie za długo!

- Na pierwszą wrócimy! - odkrzyknął Gienek. Szef powitał nas mrukliwie.

- Mówiła matka o tej remizie... tak... Choroba, nie układa mi się... Bandaży miał o połowę mniej, siedział na łóżku zły, przeważnie milczał. Kombinował coś w tym białym łbie.

- W nogę gracie?

- Gdzie tam. Obydwa mecze odłożone. Czekaemy, aż wrócisz... Namyslał się długo. Wreszcie spytał:

- A do rozprawy... szykujecie się? Zamilkliśmy. Wyznał smutno, żałośnie:

- Zapominacie...

I zaraz potem zgrzytnął zębami i powiedział, jakie jest życie. Powtórzyć nie mogę, słowo się nie nadaje.

Po sali się rozejrzałem. Czasu minęło niemało. Na miejscu tego z zielonymi uszami leżał ktoś z rozbitym czołem. W rogu grubas zabawiał bakiem ogolonego na głacę chłopczyka. Tego w gipsie zastąpił nieruchomy staruszek, kobiety pochylały się nad nim i dzieci. Z najdalszego kąta dolatywało spod kołdry czyjeś jęczenie. W szpitalu zawsze przenika mnie lęk. Tyle okrucieństwa. Taka stacja przesiadkowa...

Raptem Antek podskoczył.

- Wy, słuchajcie! Zaprosimy burków na otwarcie! Spojrzeliśmy po sobie. Szczerze mówiąc, nasze koło LZS weszło do

komitetu organizacyjnego. Wysłaliśmy zaproszenie do zarządu w Białymstoku. Gienek miał wygłosić przemówienie. Wynajęliśmy już Szewców. I co tu dużo gadać, naharowaliśmy się te trzy tygodnie. Nie dla draki. On ożywił się, zaczął dowcipkować.

- Zaproście! Powiedźcie, że ja jeszcze w szpitalu, to przyjdą! Trzeba było rzecz wyjaśnić.

Zapytałem głosem możliwie najtro-  
skliwszym, nie wiedząc, gdzie wzrok podziać.

- A... jak twoje... oko? Ucichł.

42

43

- Nie bardzo...

- Nie łam się, wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz... To kiedy cię zwolnią?

Odpowiedział nie od razu. Zastanawiał się. I zełgał:

- Co najmniej za miesiąc.

Przyjechał zaraz we wtorek, na trzy dni przed otwarciem. Szedł od stacji, pogwizdując, jakby nigdy nic, a przez oko czerniała mu skośna przepaska. No to już wiedziałem.

- Wyglądasz jak Jurand ze Spychowa - zażartowałem. - Filmowo.

- Mhm... - Spojrzał na mnie jednym okiem z ukosa, jak gęś albo kura. I zainteresował się. -

Jak kto? Jurand?

Zacząłem o Krzyżakach, którzy po katowsku...

- Aha - przypomniał sobie - widziałem ten film... - Podumał i kopnął jakiś kamyk. - Zaprosiliście kościańskich?

W tym momencie odechciało mi się wszystkiego. Po prostu: odechciało mi się.

- Zaprosiliśmy. Afisz wisi pod kościołem i gadaliśmy im, jak mówiłeś. Schylił się po słomkę, obtarł z piachu, wsunął do ust. Rozkraczył

się na słupciastych nogach i stał tak, potężny, szpitalnie biały, z roztrzepanymi włosami, jakiś straszny i obcy.

- Będziesz na otwarciu? - zapytałem go. Znowu popatrzył na mnie jak gąsior.

- Pomyślę... A wy wolelibyście, żebym nie przyszedł, co?

- Czemu nie. Przyjdź. Tylko wiesz, Antek, odłóżmy to na potem. Uśmiechnął się krzywo.

- Na Świętego Nigdy...

Wypluł słomkę i poszedł do domu, zajmując szerokim ciałem pół ulicy. Przed remizą zatrzymał się, popatrzył...

Nie pokazał się do wieczora tego dnia ni nazajutrz. Wyglądało na to, że chce zabawę przeczekać. Albo że się na nią szykuje.

A na uroczystość pogoda dopisała. Do południa padało, lecz pod wieczór, jak to nieraz w sobotę bywa, niebo rozjaśniło się. Od zachodzącego słońca, mokrych drzew i trawy zrobiło się tak rześko i zachęcająco, że po zachodzie ludzie jechali i jechali. Kto przyjechał? Łatwiej byłoby wyliczyć, kto nie przyjechał, taka chmara się zebrała. Na placu między magazynem a remizą zabrakło miejsca dla motocykli. I kościańscy zajechali na swoich emzetskach, dziesięciu, jak brygada zmotoryzowana. Autokar z Fast wstawiliśmy do Laskowskiego na gumno. Dziewczęta z Guzowa przystroiły sa-

lę serpentynami i wata na nitkach, czerwonym papierem owinęły żarówki. Podłogę posypaliśmy woskiem. W głębi sceny czerwieniło się hasło „Niech żyje Święto Odrodzenia”, które wypożyczyliśmy ze szkoły. Uroczyście było i nastrojowo. Szewcy grali pogodne kawałki, na razie dziewczęta bawiły się same, kawalerka normalnie dojrzewała przy bufecie i pod oknami. Kościańscy stali w rogu przy drzwiach, starzy ich obserwowali.

O dziesiątej Szewcy trzasnęli tusz i na scenę wszedł naczelnik Laskowski powitać miłych gości. Potem głos zabrał delegat z województwa, nazwisko zapomniałem. Delegat czytał z kartki, szkoda, że nie wykuł na pamięć paru słów na taką uroczystość i darmowe picie. Potem były występy: jeden cyrkowiec i poeta z Białegostoku dawali na zmianę numery. Poeta czytał wiersze, a cyrkowiec pokazywał sztuczki z kartami, z kóleczkami i z gołębiem. Sztuczki wspaniałe, aż nam ręce puchły od oklasków. Poecie też nie żalowaliśmy, niech kto nie pomyśli, że w Rabarbarze na kulturze się nie znają. W tym czasie Szewcy wypili kolację i zaraz ich trąby i bębny rozgrzały wszystkich fokstrotem, sala zaroiała się od par. Lecz ta zabawa była nie dla nas, bo dyżur przy wejściu i w bufecie wypadł nam elzetesowcom właśnie między jedenastą a pierwszą. Wszystko szło pokazowo do północy. Ale...

Punkt o dwunastej nie wiadomo skąd pojawił się na scenie Antek, w sztok pijany.

Poderwaliśmy się - za późno. Już przerwał Szewcom granie, już pary znieruchomiały, a on, stojąc na skraju sceny, w rozpiętej koszuli, wznosił rękę do przemowy.

- Szanowne państwo! - zagrzemiał na całą salę jak megafon. - Szanowne goście, szanowne gospodarze, szanowni moi rabarbarscy koledzy, Paweł, Gienek i temu podobne oraz wy, damskie boksery z Kościan, ja was dobrze widzę swoim okiem! - To mówiąc, wskazał ręką kąt przy drzwiach i zachwiał się. - Ja w sprawie honoru!

Wyprostował się, stęknął i ogłosił:

- Ja daruję moje oko! Paweł, Gienek, słyszycie?! Zadrzałem, zapiekło mię w piersiach.

Antek zaś wycelował rękę i paluch w kąt, gdzie stało dziesięciu z Kościan z Burkiem i Zgagą na przedzie.

- Słyszeliście, burki? Daruję wam moją zemstę, słyszycie?! No to zapamiętajcie dobrze, kutasy z Kościan, tak jest! Zapamiętajcie!

Co rzekłszy, zasalutował, szarpnął z oka przepaskę i z gorejącą raną jak prorok szedł, zataczając się, ku drzwiom, a nikt z nas palcem nie kiwnął w tej strasznej ciszy.

44

Savoir-vivre

W przedziale siedzieli: pani Kalinowska, szwagier Kazimierz i Bosak, mój ojciec chrzestny. Ukłoniłem się miękko, czułem, że udał mi się ukłon.

- Dobry wieczór! - powiedziałem, przydając głosowi nieco dojrzałej chrypki.

- O, nasz warszawiak - roztkliwiła się pani Kalinowska. - Aleś ty urósł. - Zawsze przyrównuje swoich uczniów do wymiarów z siódmej klasy. - Pewnie tęskniłeś do domu...

- Może... troszeczkę. - Włożyłem walizkę na półkę, rozwinąłem szalik moher bordo, zdjąłem płaszcz (niech widzą, że człowiek obyty w dalekich podróżach). - Nie jest się dzieckiem - dodałem fałszywym basem.

Bosaka zdziwiło moje rozbieranie się. Oni siedzieli w zimowych paltach, kołnierze mieli postawione.

- Przeziębisz się - zauważył. - Do Guzowa prawie godzina jazdy.

- Wiem, wiem, cztery lata dojeżdżałem. Nie takie mrozy się przeżywało.

Szwagier lustrował mnie skrycie. Zezował to na grzywkę, to na koszulę non-iron. Nachylił się, niby poprawiając sobie sznurowadło, i przyjrzał się moim spiczastym butom, po czym oparł się ciężko o ścianę. Patrząc przed siebie, wyrzekł, ni to pytając, ni oznajmiając:

- Pośpiesznym przyleciałeś, co nie?

- Tak. Międzynarodowym... Berlin - Warszawa - Leningrad.

Mruknałem to od niechcienia, jakbyśmy nie siedzieli oto w podmiejskim gruchocie, lecz całe życie jeździli transkontynentalnymi ekspresami. Zamilkłem godnie. Ponownie zagadnęła kierowniczką - w samo sedno, aż pokraśniałem z zadowolenia.

46

- Wyprzystojniałeś, Pawełek. Taki studenciak jesteś, że ho! - Przechyliła głowę. - A wiesz, dobrze ci w takim uczesaniu.

Pociąg ruszył.

Matka zdębieje! - rozgrzewałem się wyobraźnią. - Kryska zakrzyknie: Pawełek?! Trzy miesiące, a nie do poznania!...

Proszę, co z człowieka robi stolica. A przyjechałem do akademika w obficie wywatowanej marynarce, uczesany kopiasto do góry. Zaraz pierwszego wieczora Marek, najstarszy z trójki współmieszkańców, posadził mnie na krzesło i z nożycami w ręku obejrzał z profilu i od frontu jak kogut jeża, obmacał potylicę.

- Zrobimy się na Kennedy'ego - zawyrokował. Następnie strzepnął mi czuprynę na czoło i ciachnął nożycami.

Resztki skropił wodą z kranu, uczesał i podał lusterko. Spojrzałem: obraz do złudzenia przypominał mi okładkę „Ekranu”. Uśmiechnąłem się - dopiero po tym gamoniowatym uśmiechu rozpoznałem Pawła z Rabarbaru. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak szybko można człowieka uwspółcześnić. Marek chrząknął, kontent z dzieła, i kiwnął na Mietka, drugiego prowincjusza.

- Siadaj, żytniaku - rozkazał.

Opatrznościowy nasz patron pochodzi z Wołomina, ale łobuzował niemało na Targówku, zna tam wszystkie ulice, zaułki, bramy i uważa się za stuprocentowego warszawiaka. Nas, przyjezdnych, ochrzcił mianem żytniaki.

A droga na pierwszy wykład! Szliśmy na przystanek; nieco w przodzie naszej czwórki tańczył Marek. Gestykułując szalonymi rękami na pół trotuaru, wyniszczał tajemnice klasycznego wskakiwania do tramwaju:

- Rozbieg... - wzniosł palec do góry - maksymalny! Odbijasz się z prawej nogi i rrraz! Lewą łapą cap za pręt! Łądujesz na nodze lewej...

- tu zastygł na chodniku w ekstremalnej pozycji tanga argentyńskiego

- a prawą nogę odstawiasz do tyłu jak w chorągiewce. -1 rzucił triumfalnie do nas oraz tuzina gapiów: - Ka-pe?!

Zza rogu akademika wyłaził z Grójeckiej, jak czerwony aligator, tramwaj numer 5. Marek ogarnął nas okiem tygrysa prowadzącego młode na pierwszy zer.

- Baczość, żytniaki! - zakomenderował. - Gazu!

Ruszył. My za nim, sprintem. Od razu wysforował się z dziesięć metrów, prulem za nim jak Foik za Hayesem. Gdy na mgnienie oka spoj-

47

rzałem za siebie, Zbyszek stał pośrodku asfaltu bez okularów, komiczny, a Mietek zbierał na torowisku kajety... - Marek w tym momencie skoczył, ujrzałem go już na stopniu w mistrzowskiej chorągiewce. Szybciej! Tramwaj! Stopnie! Nogi, dzikie nogi wyrzuciły mnie jak kangura z asfaltu het na sam środek pomostu. Marek zachłysnął się.

- Da Silva!!! Ludzie! Talent!

Trzy, cztery dni później - wieczorem to było, w akademiku - Marek odłożył pióro i pociągając holmesowsko nosem, zastanowił się na głos:

- Co to jest... Trójfoterek czego?... Po namyśle klepnął się w udo.

- Wiem. Wiem, żytniaki. Pokazać walizki!

Wyciągnęliśmy spod łóżek nasze pudła. Marek ustawił przy krześle kosz na śmieci. Brał do ręki zawiniątka w białym płótnie, w papierze, w gazetach - obwąchiwał i bez pardonu obwieszczał wyroki:

- Schabik! Do kosza!

- Ma-seł-ko! Całe kilo... Do kosza!

- Kaczuchna? I ty do kosza... Nad jajkami się zawahał.

- Zdroweście - stwierdził. - Te jajeczka położymy o, tutaj. Ułożył je w szafie na półce, tamże ulokował wiktuały ze swojej walizki. Następnie zwrócił się do nas.

- Wiecie, co to wspólny stół? Wiecie, w porządku. - Wskazał mi kosz. - Wyrzuć to...

To Marek uczy nas stylu, czyli studenckiego szyku. Pomaga w kreśleniach. Organizuje zespołowe ściąganie na kolokwiach. Szef, co się zowie! Gdy wyjeżdżałem, huknął mnie w ramię.

- Pozdrów tam, Pawka, starego Kosa! - Żeby osłabić serdeczność, dodał: - Żytniaku jeden!

I oto jadę z moimi krajanami w jednym przedziale. Oni patrzą i podziwiają moją studenckość. Opowiadam im dyrdymałki o Warszawie, profesorach, Murzynach...

- Dobrze, dobrze - stopuje Bosak, ojciec chrzestny. - A gdzie ty jesz, że taki chudy?

- W stołówce. -1 drogo to?

- Póldarmo. Bon mi przyznali.

- Hm, hm... A co jeść dają, zupę dają?

- Oczywiście.

- Jakie zupy?

- Grochową dają, szczawiową, ogórkową... Dają jagodową, kalafiorową...

- Kalafiorową, mówisz? - Bosak nigdy nie jadł w restauracji. - Kalafiorową... Z czego to?

- Jak to z czego. Jak kalafiorowa, to nie z parasola, tylko z kalafiora, panie Bosak. - To panie dodają dla polechtania, brzmi wykwintniej niż nasze wioskowe wy.

Wtrąca się nauczycielka.

- Co to, nigdy pan nie widział w sklepie kalafiora? Takie białe, gru-dziaste...

Bosak natężył myśli. Przypomina, przypomina, wreszcie macha ręką. Zapytuje o drugie danie. Wyliczam:



- Schabowy, mielony - kotlety. Dalej - rumsztyk, brizol, zrazy, stek, pieczeń wieprzowa, wołowa...

- E, coś ty bujasz. Za bogato. Aha, pewnie dają tyle, co za paznokciem.

- Skądże - zaprzeczam. - Schabowy waży dwadzieścia deka. Mięsa ja teraz jem dwa razy tyle co w domu.

Słuchają w zachwyceniu. Jeszcze szwagier bada:

- A ziela dają?

- Pewnie. Surówkę z marchwi, z rzodkwi, kapustę kiszoną i włoską. Ogórek, truskaweczki mrożone... Do tego deser zawsze dają. Trzy dania, panie Kaziu... - zaznaczam wytwornie.

Spojrzał badawczo.

- Tak, tak, panie Kazimierzu - powtarzam. Zmarszczył czoło i łypnął ostrym okiem.

Bosak jest nienasycony. Jego dociekliwość nie ma granic.

- Ale piątków i suchedni tam nie uważają, co?

- Nie, postów nie uważają. W piątki mięso leci normalnie. Warszawa nie wioska, panie Bosak.

W tym momencie szwagier otworzył gwałtownie usta, jakby chciał rzec mi coś nerwowego, ale tylko kłapnął zębami i dźgnął wzrokiem. Czyżbym strzelił jakąś gafę?

Moja uwaga o wsi rozpełtała dyskusję między Bosakiem a panią Kalinowską, która nadmieniła, że dziś i na wsi mało kto honoruje dni postne. Rozmowa wnet przetoczyła się na temat ślubów cywilnych i koś-

48

49

cielnych, skręciła na rozwody i rozwodrzenie młodzieży, trąciła o sądy i zatrzymała się na spekulantwie oraz łapówkach. W tym momencie pociąg stanął. Guzowo. Owinąłem się moherem, życząc wesółych świąt, ucałowałem kulturalnie rękę pani Kalinowskiej, i w rozpiętym płaszczu - nieco ociągając się w drzwiach, żeby jak najwięcej osób widziało mnie w pełni akademickiego blasku - zszedłem na peron. Niestety, mrok zepsuł efekt. Podałem rękę szwagrowi i ruszyłem za Bosakiem do Rabarbaru. Ale szwagier nie skręcił w guzowską ścieżkę. Szedł obok i patrzył pilnie w ziemię. Zatrzymałem się zdziwiony.

- O, pan, panie Kaziu, też do Rabarbaru?

Wtedy ujął mnie za barki i wpatrując się w oczy, rzekł dobitnie:

- Słuchaj, kurwa! Jeszcze raz do swojego powiesz pan, a dostaniesz w mordę. Jasne?

Odkręcił się i poszedł. Krew uderzyła mi do uszu.

Derma

Pierwsza dopadła mnie Kryska - przygarnęła, ucałowała i, wstydząc się wzruszenia, dała w nos prztyczka. Potem przystąpiła matka, cmoknęła ze sto pięćdziesiąt razy, odstąpiła trzy kroki do tyłu, oczy nacieszyć, znowu przystąpiła. Ojca nie było w domu. Rozluźniłem krawat i z rękami w kieszeniach marynarki (kciuki na wierzchu), rozejrzałem się po pokoju. W takich chwilach mówi się uniwersalnie: Co słyhać? I tak uczyniłem.

Dom! Nie urosłem przecież, a sufit obniżył się nad głowę... Mama -jaka maleńka... starutka. Piec - niewiarygodne! Kiedy on się tak wykrzywił! Szyby połatane. Ten zapach, woń naszego domu - bo każda chata ma swój zapach - zaraz, czy to nie... fetorek od wiader świńskich w sieni?

Matka przyglądała mi się z lubością. Wchłania białość koszuli, połysk butów.

- A spodnie nie za obcisłe? Wyjaśniam z satysfakcją.

- Nie, mama. Teraz takie modne...

Westchnęła. Pytam jeszcze raz, co słyhać we wsi, w domu. Matka wyluszcza:

- A nic specjalnego... Zboże już zmłócone... Co jeszcze? Derma będzie miała bachora.

Chłopcy już się trzęsą, kogo wybierze na ojca...

Za oknem pada. Śnieg chlapie z deszczem. Chce mi się na wieś.

- Skoczę na pięć minut do spółdzielni.  
- A idź, idź, tylko zaraz wracaj - przyzwala z wyrozumieniem.  
Na pustych antałkach siedzą chłopcy i piją piwo.  
- Czołem, wiara!

51

- Paweł! Gdzieś ty był, jak ciebie nie było! - ucieszyli się. - Masz, pij! Gadają o babkach: które przystępniejsze, guzowskie czy nasze. Gienek wywodzi:  
- Mówię wam: nasze są przystępniejsze, tylko nie dla nas. Normalna rzecz...  
- A to czemu? - dziwi się Bolek.  
- Z powodu plotek. Obcy odprowadzi z zabawy i pojedzie, skąd przyjechał. A swój zaraz rozbębni po wsi...

Na kontuarze siedzi jednym udem sklepowy. Gryzie dropsy i krzywi się pod nosem, jakby nie był zadowolony z zapachu swoich żółtych zębów. Brwi unosi.

- A Derma co, ona też nieprzystępna?  
- Derma co innego. To inna para kaloszy - stwierdza Gienek. I zwraca się do mnie: - No a ty... Zważniałeś? Powiedz coś.

Sklepowy macha zwisającą nogą w tyrolskim bucie. Gwizdnął.

- Yy, chłopcy, Paweł teraz warszawskim babkom daje wycisk - prowokuje. - W kawiarniach... Mileżący dotąd Romek prostuje.

- Głupiś. W kawiarni, bracie, siedzisz z rączkami na szkle. Ząbki szczerzysz. Co najwyżej kolankiem trącisz. On w akademikach rozrabia. No nie, Paweł?

- Odezwij się! - nalega Gienek.

Rozognili swoją ciekawość do tego stopnia, że powinienem coś powiedzieć. Odstawiam kufel. Klepnąwszy się chwacko w kolana, robię zagadkowy wstępik:

- Ano, działa się... Trzeba.

Podnoszę z podłogi zapalną, wciskam między zęby. Dłubiąc, dla dodania sobie nonszalancji, opowiadam z dramatyzującymi przerwami, jak pewnego razu wkradliśmy się z kumplem do żeńskiego akademika, nocą. Nas było dwóch, a babek w pokoju cztery! Aleśmy się zabawili... Uch, studentki!

Słuchają. Najpierw z niedowierzaniem, potem już w bezkrytycznym zachwycie. Oczy im zaślniły. Chcą więcej.

Sięgam do innych opowieści z repertuaru Slima. Slim przychodzi do nas, kanonizowanych kujonów, prawie co wieczór, w porze nieobecności Marka. Zawsze w piżamie. Drapie się pod tą piżamą i snuje półgębkiem niekończące się wspomnienia z wypraw miłosnych. Jednocześnie zżera nasz smalec, chwali szynkę, wypija jajka.

I

- Sierota jestem - zwierza się jak braciom. - Nikt o mnie nie pamięta.

I z zapalną dobiera się do Mietkowej kaczki. Studiuje jedenasty rok, na trzecim z kolei wydziale. Baje jak Sabała.

Przeto opowiadam chłopakom, jak całowałem się z babką na ćwiczeniach w ciemni fotograficznej. Raz poszedłem zaliczać matkę do domu asystentki. A ta, bracie, proszę siadać, nie, nie tu, na kanapie, wyjmuję wino, jak ci właściwie na imię, ile masz lat, cium cium... Morowa babka...

O piwie zapomnieli. Piana opadła w kuflach. Sklepowy z zadowoleniem plasnął się w uda.

- Toś ty, bracie, orzeł!

I stawia kolejkę, co, jak wiadomo, może się sklepowemu zdarzyć jedynie w chwili wyjątkowego wzruszenia. Żartobliwie grozi palcem.

- Uważaj, Paweł, żeby Derma ciebie nie wybrała... Jak ty taki! Dermą przezwano ją za ochotę do mężczyzn, derma to najgorsza skóra, gorsza od świńskiej. Naprawdę nazywa się Ryśka.

Trzy miesiące temu, ostatniej niedzieli przed wyjazdem na studia, tańczyłem z Ryśką w Guzowie. Ryśka jest pulchna i wysoka, moje oczy znajdowały się akurat na wprost jej biustu. - Ty nie bądź frajer - pocieszała. - Anka głupia, że cię nie chce. Nie chcieć tak pięknego kawalera! - dziwiła się w tangu, przygarniając mój rudy łeb do swych nieobliczalnych piersi, aż zapomniałem o Ance, mej licealnej miłości, i starałem się stąpać w takt muzyki jak najpiękniej. Podczas przerwy zaciągnęła mnie do bufetu na piwo, gdzie po dwóch kolejkach powiedziałem jej w szczerym zachwycie, że jest najwspanialszą dziewczyną w całej północno-wschodniej Polsce. Ucieszyła się, rozwichrzyła mi włosy i poszła do żołnierzy. Potem Szewcy zagrali „Podmoskiewskie wieczory”. Nastrój pożegnalnej zabawy rozmiękczył mi oczy. Wyszedłem na dwór. Spod brzozy patrzyłem na Guzowo jakby po raz ostatni. Na staw z tatarakiem, kontury stodół w ciemności, szare pasmo ogrodów. Rozświetlona remiza drżała pięknie jak ojczysty brzeg...

Wtedy nie wiem skąd wzięła się obok mnie Ryśka. Serce mi zało-potało, przeczułem, co się stanie.

- Chodź - powiedziała, ujmując mnie za rękę.

- Gdzie?! - spytałem głupio. Zaśmiała się. Szliśmy w kierunku bro-gu Godlewskich. Nie powiem, że bym wyrwał do przodu, gdy dobra

52

53

Ryśka objęła mnie za szyję. Wydawało się, że katastrofa jest już nieunikniona, ale od remizy doleciało wołanie.

- Paweł - krzyczeli chłopcy - bo kończymy! Mieliliśmy składkowe pół litra. Powiedziałem to Dermie.

- To szkoda marnować - przyznała. - Wypij i zaraz wracaj. Pobiegłem. Pół szklanki połknąłem jednym haustem. Przydało się, lew we mnie wstąpił. Nabrałem powietrza w pełne płuca i ruszyłem w ciemność. Wyjadę w świat jako prawdziwy mężczyzna. Raz kozie śmierć! Wdrapałem się na stóg... Ryski nie było. Spotkałem Dermę przed samym odjazdem, w Guzowie na przystanku. Stałem z walizką w rękę, zaczerwieniłem się, gdy podeszła. A ona zwyczajnie:

- Tak jakoś wyszło, nie gniewaj się, Paweł. W Warszawie sobie odbijesz, tam się dopiero puszczają...

W Warszawie od pierwszych dni wpadłem w nieprzytomny kowalski rytm pierwszego roku politechniki. Co tydzień ktoś następny kapitulował i rad nie rad jechał do mamy na pyzy. Nocami nie przychodził sen, w dzień snułem się błędny. Bałem się przegrania. W Rabarbarze powiedzieliby, nie bez zadowolenia: Nie nadawał się... Taki gamonio-waty... Ale powiodło mi się na jednym kolokwium, na drugim. Ktoś powiedział: zdolny chłopak. Nabrałem animuszu.

Pewnego razu spotkałem przy dziekanacie Grześka. Wzruszył się moim zmizerowaniem.

- Wpadnij stary do mnie w niedzielę... Zobaczysz, jak student żyje! Pojechałem. Trzech ich było w pokoju. Siedzieli na łózkach, przy każdym babka; Grześkowa najładniejsza. Patrzyła na chłopców zwycięsko, pończochy jej lśniły, zęby błyskały. Pili wytrawne wino i łykali fi-kuśne kanapeczki: pumpernikel - szynka - ogórek. Za stół służyła im serweta rozłożona na podłodze. Zaimponowali mi tym pumperniklem.

- Kuzyn Paweł - przedstawił mnie Grzesiek, bo faktycznie, łączy nas jakieś powinowactwo, piąta woda po kisielu. - Przyjechał pobrać nauki w tutejszych instytucjach, z cichej wsi podlaskiej przybywa, jak okrucz bursztynu zagubionej wśród łąnów gryki i łąk rośnych... Równie górnolotnie popisał się rozczochrany drab w okularach.

- Tuszę, iż zmierzasz do tego, że dusza kolegi niewinna jak polne bławatki...

- Idioci - orzekł trzeci, mały, łysy. I przytomnie podał mi szklankę wina.

Sypali kawałami. Śmiali się powściągliwie. Nonszalanccy, szczerzy. Grześkowa Baśka przysiadła się do mnie.

- Nie masz jeszcze dziewczyny, Paweczku? - zainteresowała się. Pogłaskała po włosach. - Miły jesteś, nie bój się, twoje przeznaczenie samo cię znajdzie... Prawda, Grzechu?

Capnęła go za uszy i posadziła na łóżko. Napinając nerwy, aby obecni nie wzięli mnie za dzieciaka, który nic w życiu jeszcze nie przeżył, patrzyłem obojętnie, jak całuje Grześka za parawanem swoich rozpuszczonych włosów. Po godzinie wyszedłem, zachwycony tymi ludźmi. Zwłaszcza Baśką.

Może tydzień potem, gdyśmy całą czwórką ślęczeli nad skryptami i rysownicami, drzwi się otworzyły i do naszego pokoju weszła ona. Zapatrzyliśmy się w blond dziwo, porażeni niezwykłością zjawiska. Nim oprzytomniałem, Marek już prawil jej komplementy. Baśka, oczywiście, zwróciła się do mnie. Zapraszała na spacer. Jak oni na mnie patrzyli!

Szliśmy sobie Grójecką pod rękę, a mężczyźni oglądali się za nami jak kukły. To znaczy, za Baśką. Pokłóciła się z Grześkiem. Byłem jej potrzebny do mediacji...

W grudniu posypała się seria kolokwiów. Zbliżały się święta. W naszym pokoju gęstniało oczekiwanie Bożego Narodzenia. Liczyliśmy dni dzielące od ferii. Jedenaście, osiem... pięć... Tego moi słuchacze nie wiedzą.

- Opowiedz coś jeszcze - prosi sklepowy, rozgrzany moją przygodą z asystentką.

- Co by wam o-po-wie-dzieć - zastanawiam się głośno.

Piwo, piwo... co ono wyprawia. Przymrużyłem oczy, półki się za-kołysały. Butelki w trójszeregu. Na czele Mistella, Malaga, Lacrima. Wypinają się złoconymi etykietkami drogie słodkie damy. Czekają, czekają, starzeją się... Rabarbarscy chłopcy zadają się z tanioczą.

Mazur, Selment, Surma - nasze kawalerskie muzy. Na szarym końcu stoi Słodkie, zwykły sikacz po osiemnaście, kompan niedzielny. Krótka żyje, wesoło ginie!...

- Aha. Więc pewnego razu poszedłem do kumpla na imieniny. Sam, bez babki. Nazywał się Andrzej. Trochę dziewcząt było. Wpadła mi w oko babka Andrzeja, Baśka. Potańczyłem z nią trochę, w miarę, wiecie, jak to jest, kumplowi się nie odbija, no nie? I wyobraźcie sobie, dwa dni później, w akademiku, drzwi się otwierają... W drzwiach staje...

- Kto? Ta Baśka? - zachwyca się Gienek.

55

- A kto, święta Agnieszka? - parskam. -Ico?

- Nic. Wyszliśmy sobie na spacer. Odtąd przychodziła co wieczór.

- To może i w Łazienkach z nią byłeś? - marzy sklepowy. - Bo ja byłem raz w Łazienkach, z wycieczką... Same pary, zakochanych a zakochanych, aż wstyd zwiedzać było...

- Spacer spacerem - na to Gienek do mnie - spacerować mogłeś. Ale było coś?

- Nie! - śmieję się pyszałkowato. - Pacierze odmawialiśmy. -I podnoszę do ust kufel.

Chłopaki sączą piwo, trawiają moje opowieści.

- Tak to jest w świecie - wzdycha sklepowy.

- Choroba... Żyją sobie ludzie - mruczy gorzko Kazik.

A Gienek przygląda się z zazdrością moim włosom na boczek i zgrabnym spodniom.

- Jakiś ty taki... Niby ten, a nie ten...

Odpust

Białostocki odpust świętego Rocha ma tę przewagę nad innymi, że odbywa się w mieście wojewódzkim. W promieniu zaś co najmniej trzydziestu kilometrów, mierząc od białego kościoła, nie ma chaty, z której by choć jedna osoba nie wywędrowała do grodu nad Białką. I co roku w sierpniu krewni jadą do swoich, zobaczyć, jak się im w mieście powodzi. Ci z kolei albo pocą się cały tydzień w przedod-pustowej gorączce przygotowań, albo wyjeżdżają chyłkiem z domu w delegacje i na urlopy. Choć skądinąd wiadomo, że wielu z nich koczuje w krzakach na Nowym Mieście, oczekując tam wyjazdu drogich powinowatych.

Co do mnie, po prostu przyjechałem posmakować odpustowego rozgardiaszu. Ot, zrobić zdjęcie w oknie płóciennego samolotu LOT, zagrać w „banerki”. Pogawędzić ze znajomymi. A co najwyżej wypić piwko Złote Dojldzkie w pobliskim barze. I zapewne tak by się stało, gdyby przy straganie z glinianymi jeleniami nie trącił mnie nagle...

Obejrzałem się i oczom nie wierzę: Antek, nie Antek? Od mojej matury nie widzieliśmy się. Słyszałem, że wyjechał do Białegostoku, ożenił się z miejską śpiewaczką, która przyjeżdżała do Guzowa na co huczniej sze zabawy śpiewać Szewcom refreny. Solistka - mówiono o niej - numery odstawia. A nieznajomy buch mnie w ramię.

- Paweł! Jak Boga kocham! - Przyciągnął do siebie, ucałował. - Kochane chłopisko!

Skąd to moje wahanie. Po pierwsze, nasz Antek zawsze chesał się do góry, plerezę miał jak Paderewski. Żona, bo któż by inny, uczesała go w studencki okapik. Nie dość tego, ubrała go w obcisłe spodnie, choć jest biodrzasty i kuferkowaty, wystroiła go w bordową muszkę pod

57

śnieżnobiałym kołnierzykiem. A jurandowe oko przysłoniła okularami a la Cybulski.

Wykrzyknąwszy powitanie, odchylił swe szerokie ciało, odstawiając blade dziewczę w sukieneczce przed kolana.

- My się znamy - dygnęło dziewczę. - Zdaje się, pan Paweł?

- Paweł - przytwierdziłem. I zrewanżowałem się: - Mery? Ucieszyła się:

- O, pan mnie pamięta.

Na twarzy Antka, mimo ciemnych okularów, widać było rozrzewnienie. Jasne, liryczne.

- Co się opieprzać - zdecydował. - Idziemy do Krystalu. Cristal to najlepszy w Białymstoku lokal.

- Ale tylko na piwko - zastrzegłem się.

- Zobaczymy...

Po drodze dowiedziałem się, co słyhać. Więc na razie mieszkają kątem u rodziców Marylki (Mery to jej przydomek artystyczny). Starzy fundują im w posagu mieszkanie spółdzielcze, które ziści się „najpóźniej za pół roku”. Ona pracuje w Fastach jako prządka, on - w transporcie. Tak, najpierw miało być inaczej. Planowali zostać na gospodarstwie.

O tym wiem od Kryski. Mery nauczyła się doić krowy, karmić świnię, wypiekać chleb, a zbagatelizowała - zwyczajnie. Z początku Andrzej-jukowa bez słowa obserwowała, jak synowa smaży na okrasę dwa razy tyle skwarek, niż się zwykło smażyć w Rabarbarze. Cierpiała wielokodusznie, patrząc, jak dziewczyna, ucieszona wiejskim dostatkiem, spija śmietankę przeznaczoną na masło dla kierowniczkii Kalinowskiej. Wreszcie bardzo delikatnie wyjaśniła synowej, że nie wypada, aby mąż doił krowy o świcie, a ona spała do siódmej jak księżniczka. Sam Antek nie widział w tym nic złego. Ale po dwóch miesiącach matczyzna delikatność wyczerpała się. Pewnej niedzieli, przed zabawą w Guzowie, odwiedzili Antków Szewcy. Wniebowzięta Mery złapała trzy kurczaki i kazała mężowi poodcinać im łebki. Zakochany Antek popełnił to głupstwo. Matka, gdy przyniósł jej do kuchni trzy truchelka, wypadła z chaty jak rakietka, wtargnęła do ogrodu, gdzie pod jabłonką towarzystwo dopijało bez zakąski już trzecią ćwiartkę i wymachując rękami, ogłosiła bez pardonu, co myśli o takiej synowej i - nie omieszkawszy nawiązać do jej prowadzenia się w wolnym stanie, wskazała furtkę. Mery rozszlochała się z wielkiego wstydu. Antek, szlachetny raptus, oszalał. Złapał żonę wpół i ruszył pędem ku furtce.

A muzykanci wzięli instrumenty z trawy i poszli za nimi. I tak uformował się dziwny pochód.

Wygnańcy szli przez wieś pierwsi, pod rękę, jak zakochani, za nimi zataczała się orkiestra.

Pijany saksofonista zagrał na swej tubie rozdzierającą melodię „Nie płacz, kiedy odjadę”, zajęczał do wtóru akordeon, załkała trąbka. Było to wygnanie z rabarbarskiego raję głośnie i wrzuszające...

Siedliśmy w rogu sali, przed lustrami, cudem chyba znalazłszy wolny stolik, przy odpuście bowiem wszystkie lokale sa przepełnione. Antek przestudiował kartę, oświadczył:

- Najlepiej pół wyborowej, trzy schabowe, trzy piwka. Mery zaprotestowała.  
- O nie, ja chcę rumsztyczka. Bąknąłem coś o tatarze.  
- Dobra jest - notował na głos w pamięci. - Trzy rumsztyki, trzy tatarzy, trzy schabowe...  
Ujrzelśmy kelnera - łamiącego się, wyginającego w pokłonach. Ale to był tylko efekt krzywych lusterek. W istocie kelner zbliżył się od przeciwnej strony i stanął przy stoliku.  
- Co państwo sobie ży... - zaczął uprzejmie. Nie dokończył. Wpatrując się w Antka jak w zjawę, odstał krok do tyłu, zbladł i wyjąkał.  
- Z-z-zaraz, kolega poda...

I byłby się oddalił, gdyby w tym momencie Antek nie huknął:

- Stać! Stój!

Podskoczyliśmy, ja i Mery, a on twardym, niedającym szansy sprzeciwu głosem oznajmił:

- Pan nas będzie obsługiwał. Pan!

Spojrzałem na kelnera i zrozumiałem. Przed nami, w czarnym garniturze, z białą serwetką na rękę, stał nie kto inny jak Zgaga z Kościan. Jeden z owej szóstki, której nasz rabarbarski wodzirej zawdzięcza kontuzję oka na zabawie w Kościanach. Antek poprzysiągł wtedy straszną zemstę, lecz jej zaniechał. Nawet gazeta pisała o tym patetycznym wydarzeniu. Zgaga opanował się.

- Słucham. Co państwu podać?

Antek, nie spuszczać zeń wzroku, zaczął wyliczankę.

- Pół wyborowej, sześć piwek, trzy rumsztyczki...

- Rumsztyku nie ma. -Co?

58

59

- Niestety, nie ma. Antkiem zatrzęsło.

- Uch, wy!... Trzy schabowe...

- Proszę bardzo.

- ...i trzy tatarzy!

- Tatarów... nie ma...

- Co, nie ma?! Ożeż wy... Co w ogóle macie! Krystal, psiakrew! Ceny to jak...

Wtrąciła się Mery, niezorientowana w rzeczy:

- Oj, przestań, Toleczek.

- Cisz! - odrąbał Antek. - Wiem, co mówię. -1 zwrócił się do kelnera: - Na razie podasz pan, co jest. Najpierw wódkę i piwo.

Kelner odplynął. Mery ujęła Antkową dłoń.

- No co ci, Toleczku... Co ci jest?

Był czerwony, trząsł się, wsparł czoło na dłoniach, zasłaniając okulary. Żał mi go było.

- Ech, pieskie życie, Mery - stęknął. - Co za świat!

- Uspokój się, Toleczek - prosiła.

Pojawił się Zgaga z tacą. Postawił na stole schabowe, wódkę, jął podtykać kieliszki. Antek obserwował go pilnie.

- Jak podajesz! - huknął. - Damom najpierw!

Zgaga zaczerwienił się po kołnierzyk koszuli i głośno przełknął ślinę.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Ale pamiętaj pan na przyszłość! Antek napełnił kieliszki. Wzniósł toast:

- Za nasze dobre czasy!

Wypiliśmy, złapaliśmy powietrze. Spojrzałem do lustra. Nasz stół wyglądał bogato. I prezentowaliśmy się świetnie. Czarny gang i muszka Antka. Mery - cichy blondas z wielkimi oczami. Mój szary garnitur. Inne stoły jeżyły się palisadami półlitrowek, butelek piwa. Nad roz-mamłanymi talerzami ludziska siedzieli rozmiękczeni jacyś, krzywi. Całowali się ponad

stołami, przewracając butelki. Antek jednak, rozejrzawszy się, skonstatował, że nasz stół jest za czysty i nazbyt świeci wolną powierzchnią.

- Coś tu nie tak - mruknął.

Tymczasem przy sąsiednim stoliku zmieniło się towarzystwo. Goście w garniturach wyszli. Zasiadły dwie panie o różnokolorowych włosach i faceci w swetrach. Rozbawieni.

Przechylali kieliszki, gul! po ro-

bociarsku i ciach! rękawem usta. Cyganeria - myślałem - beztroski świat. Może aktorzy?

Dziennikarze... Wnet sygnęli kawałami, wyciszając puenty. Ich swoboda zastanowiła Antka.

- Co oni, w lesie na majówce?

Wypiliśmy drugą kolejkę, trzecią, napoczęliśmy piwo. I nam rozgrzały się języki. Nie wiedzieć jak rozmowa zahaczyła o Rabarbar.

- To były czasy - westchnął Antek z rozmarzeniem. Przytaknąłem, a Mery wydeła wargi. W mig zatroszczył się.

- Co, Mery, nie fajnie było w Rabarbarze?

Ona jeszcze bardziej wykrzywiła buzię. Wzruszyła ramionami. On zasepił się, zamyślił.

Naraz - zachichotał. Sięgnął po jadłospis. Sunął palcem od góry do dołu i puknął w kartę.

-Są!

Rozejrzał się za kelnerem. Zgaga podbiegł natychmiast. Antek nachylił się do Mery.

- Pół wyborowej i... - tu jego głos zabrzmiał triumfalnie - trzy kurczaki!

Zarechotałem w duchu. Och, jak rechotałem, nie dając po sobie poznać, że wiem, o co chodzi. A oni patrzyli na siebie porozumiewawczo i cieszyli się. I ja się cieszyłem. Radość zapanowała.

Tymczasem nasi sąsiedzi poczynali sobie za wiele. Podpiwszy, nie ściszaży już puent. Leciały w eter słowa, których kulturalny człowiek nigdy nie użyje w lokalu. Mery raz i drugi drgnęła, jakby kto dźgnął ją widelcem. Antek to spostrzegł. Raptem wstał, podszedł do nich.

- Za przeproszeniem, gdzie państwo są? - spytał uprzejmie. - W lokalu czy w oborze?

Zbaranieli. Odpowiedział za nich.

- Jesteśmy w Krystalu, proszę ja państwa, i proszę uważać na słowa. Co rzekłszy, skłonił się i godnym krokiem powrócił do nas. Tamci

zamarli, jakby piorun strzelił z malowanego sufitu. Antek zaś, wskazując nam kieliszki wytwornym gestem, dorzucił:

- Proszę bardzo, konsumujmy.

Tym ostatnim słowem dobił tamtych do reszty. Nie minęło pięć minut, a już po sąsiedzku zasiedli swojscy ludzie, w czarnych garniturach, którzy od razu zamówili dwie półlitrowki czystej, raz po raz wznosili kieliszki i na wypródki podpalali sobie nawzajem papierosy.

Zgaga tymczasem zjawił się z czym trzeba. Postawił wódkę i talerze przed nami. Miał odejść, ale spostrzegł na obrusie pod Antkowym

60

61

łokciem wielką plamę od piwa. Zaraz zabrał się do jej wycierania. Czynił to nazbyt starannie i za długo. Antek podczas tych zabiegów poczerwieniał. Gwałtownie wraził widelec i nóż w kurze mięso. Połknął pierwszy kęs i zmarszczył brwi.

- Co to jest? Udko drobiowe czy stołowa noga? - syknął Zgadze do ucha.

Kelner tym razem nie wytrzymał. Wyprostował się, parsknął nienawistnie.

- Czego się rzucasz, co? Z Paryża jesteś? Jadłeś kiedy lepszego... ćwoku?!

Nie, tego było za wiele. Antek rzucił z brzękiem sztucce na stół. Pół sali patrzyło na niego.

Wstał. I wycedził.

- Po pierwsze, młody człowieku: nie przez per ćwoku! A po drugie: do Pipidowy tobie iść za kelnera. Do Pi-pi-dó-wy!

- Uważaj - warknął Zgaga i szczęki mu załatały. - Zamknij się, bo pożałujesz!

Antek popatrzył na nas, ogarnął wzrokiem całą salę i usiadł. Nawet ręce mu nie drżały. Pokiwał głową, biorąc nas za świadków tego, co musi uczynić, i rzekł:

- Trudno. - Położył dłonie na stole. - Proszę książkę zażaleń.

- Co? Książkę?!

- Książkę życzeń i zażaleń. Wyraźnie mówię, młody człowieku. Zgaga wydał wargi.

- Nie ma powodu!

- Panie, chcesz pan, żebym poszedł do kierownika? - Antek tracił cierpliwość.

Tamten, raptem olśniony, wygarnął:

- Nietrzeźwym książki się nie podaje.

Antek znowu wstał. Był straszny. Podeszedł blisko i wziął Zgagę za jedwabne kłapy.

- Coś ty powiedział?! Nietrzeźwym?! To ty, damski bokserze, myślisz, że mnie i Mery, i Pawła ululasz litrem wyborowej?! - Puścił kłapy i puknął się palcem w otwartą dłoń. - Tu, tu ma być książka. Ale już! I jeszcze jeden litr wyborowej! Jasne? - Usiadł zmęczony i zwycięski. - Będzie książka - powiedział. - Ja go znam, Zgagę. Stchórzy...

Mery, bledsza niż zawsze, spoglądała na męża zdumiona. Ciekaw byłem dalszego biegu pojedynku.

Wnet zjawił się Zgaga. Niósł książkę i półlitrowki. Szaroniebieski. Milczący. Z zaciętymi zębami. Antek kazał mu zabrać te stołowe nogi, przynieść kurczaki upieczone jak się należy. Pewną ręką napenił nasze kieliszki. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz...

Fajnie było. Świat rozkołysał się nam w takt walca, którego zagrała orkiestra, przyszłość malowała się przed nami zielonymi kolorami. Udał się odpust. Antek wyjął z kieszeni czterokolorowy długopis. Poprawił w książce kalkę i, między kolejnymi sznapsami, tak pisał: Uwaga wół jest wół kurczak jest kurczak. Druga sprawa co ten Zgaga stroi śmieszki, że jak kto nie jad kurczakuw to ma żreć co jest. Zwraca się uwagę żarcie to w korycie Świadki Paweł stódent warszaski on wam pokaże Moja żona Mery kocham Ja Ciebie Mery zaraz poca Potem dał mi tekst do sprawdzenia. Błędów nie znalazłem. Dopisałem tylko tuje i podpisałiśmy się.

62

Ferie wiosenne

Wielki Piątek jest w Rabarbarze dniem ścisłego postu. Matka, ojciec i Kryśka nie wezmą do ust nic prócz suchego chleba, wody i zbożowej kawy Turek. Mnie, mimo długiej podróży, nie udzielili dyspensy. Jedząc chleb z cebulą, rozważałem, czy warto jeszcze raz przekonywać ich, że ten post nikomu chwały nie przyda. I tak, gdy zabraknie im argumentów, odpowiedzą zniecka, iż nadmiar mięsa szkodzi. „Największe panowie poszczą dla zdrowia”. Tak, jedzą postnie, ale ich postne delicje mamie się nawet nie śniły - mógłbym się odciąć. Wtedy matka zmartwi się. „No to jedz, jak tak bardzo w Boga nie wierzysz”. I wygra tym swoim smutkiem. Dlatego zamiast beznadziejnej dyskusji, wybrałem wyjście proste a skuteczne: zostawszy sam w kuchni, potajemnie zjadłem ze ćwierć kilo boczku wędzonego - z cebulą pyszny. Jednakże matka spostrzegła zmniejszenie się połcia.

- Bój się Boga, Paweł. Toż ja tobie nie żałuję, synku. Ale szanuj Wielki Piątek...

W Rabarbarze, gdy zabraknie mięsa, właściwie nie ma o co zębami zacześcić. Nasze gospodynie nie bawią się w spizarniane faramuszkę. Ot, mięso, chleb, kartofle, kapusta w beczce... Zresztą, czy jedzenie najważniejsze, gdy gospodarstwo jest nie środkiem życia, lecz celem? Oto Siwka. Jaka gruba, spasiona, jak lśni jej sierść! A oto ojciec: niewysoki, tęgi, na oko - kawał chłopa. A w istocie... Właśnie rozbiera się do wielkanocnego mycia. Zdejmuje fufajkę, marynarkę, sweter, ściąga kolejno spodnie watowe, cajtowe, drelichowe. Stoi tylko w kalesonach. Patrzcie! Szczupłuśki jak Ricky Nelson. A przecież do filmu na amanta się nie szykuje. A Bosak. Jego obora jak Grand Hotel. Chata - wali się. Grab kupił wóz balonowy na nowych oponach, a dzieciom odma-

64



wia paru złotych na łyżwy... Dobrego gospodarza poznasz w Rabarbarze po tym, że przedkłada gospodarstwo nad małosłowne potrzeby domu. Co nie powinno dziwić osób, które swój zawód rozumieją jako powołanie. A Einstein na przykład. Chodził w poplamionym swetrze. A Leleweł, wielki historyk. Obiadów nie jadł, aby czasu nie tracić, izby nie opalał, tylko wciąż pisał, pisał... W Rabarbarze przeto żyją głównie Einsteiny i Lelewele.

W sobotę narznęliśmy z ojcem sieczki, co poszło sprawnie dzięki elektrycznemu silnikowi. Matka z Kryską piekły ciasta, przyrządzały święconkę. Nieść ją do kościoła mnie wypadło. Co roku nosiłem. Zresztą, lubię przedświąteczne podniecenie w kościele, zwłaszcza przepychanie przy chrzcielnicy, za wodą święconą.

Tym razem popadłem w rozterkę. Czy mnie, studentowi politechniki, wypada iść w babskie zbiorowisko, w sam środek klerykalizmu?! Do tego z koszyczkiem przykrytym haftowanym obruskiem z frędzelkami... Jakoś wybrnąłem. Zawołałem Ankę Bosaków.

- Załatw - poprosiłem - to przyślę ci znaczków z Warszawy...

Święta zaczęły się smutno. Przed laty siadaliśmy do wielkanocnego stołu w sześcioro: ojciec, matka, dwie siostry, Witek i ja. Jadźka wyszła za męża do Guzowa. Witek pracuje w Gliwicach, taksówkarzem jest. Dziś nas czworo. A za rok, za dwa?... Stół ulokowaliśmy przy łóżku, bliżej matki, która po sobotniej krzątaninie zaniemogła. Ojciec umoczył jałowcową gałązkę w święconej wodzie, skropił jedzenie i osoby, wedle obyczaju. Matka rozplakała się.

- Rozleciała się moja rodzina. Rozsypały się paciorki... Koło południa pies zaszczekał i w progu ukazał się stryko Filip, ojcowy brat. Rozgadali się, jakby kto z armat strzelał. Stryko jest prawie głuchy. Mówi szeptem, a od tego szeptu szyby drżą. Wyszliśmy z Kryską na dwór, w kwietniowe ciepło.

Słońce falowało za oparami. Ziemia pocila się stęchłym zapachem zgniłej trawy; znak, że za tydzień, dwa zazieleni się wokół i na soczystą ruń wyjdą krowy.

Położyliśmy się w półkoszkach na wozie, na szorstkich grochowinach. Nad bezwietrzny prostokąt obory, chlewów i stodoły nachyliło się słońce, wnet dobrało się do naszych twarzy, pach, kolan. Jak skończone pasibrzuchy trawiliśmy bezwładnie najobfitsze w roku śniadanie. Krysce minęła trzydziestka. Zaklepana stara panna... Mogła wyjść za męża nieraz. Przystawiał się do niej sam nauczyciel z Guzowa, i to

65

całkiem serio. Ale wtrącił się Michał Lasocki, podówczas najprzystojniejszy chłopak w Rabarbarze. Chodziło mu, zdaje się, nie tyle o Kryskę, ile o honor pierwszego we wsi amanta. I z inteligentem nie chciał przegrać. Nietrudno domyślić się, kto na zielonoświątecznej zabawie, tuż przed wakacjami, pobił skrycie młodego nauczyciela. Janek wyjechał na kurację i nigdy do Guzowa nie wrócił. Michał zaś ożenił się z inną.

- Paweł, co będzie ze mną...

Wiem: matka do roboty niezdatna. Ojciec zawzięty, dzień poharu-je, dwa odchoruje. A tu wiosna - trzeba wywieźć gnój w pole, zasiać jare, zasadzić kartofle. A pasienie krów. A dojenie...

- Paweł, doradz, co robić... Tobie dobrze... Głupia byłam, że rzuciłam szkołę. Teraz nawet za męża wyjść nie mam prawa.

Właśnie, co robić. Jeśli starzy sprzedadzą ziemię - tak radzi Witek - i kupią domek w Białymstoku na peryferiach, na pewno wyżyją. Czynnosc i książeczka PKO wystarczyłyby im na życie, bez łaski dzieci. Mogliby wynajmować pokój uczniom na stancję. Ale to przecież niemożliwe. Ojciec za nic nie wyjedzie z Rabarbaru. Raczej wolałby dogorywać na swoich hektarach, niż być bez koni, krów, bez żniw... Więc co? Rzucić studia? Wyrzec się jasnego życia, akademika, bibliotek, machnąć ręką na inżynierski dyplom? Czy ktoś zrozumie, doceni poświęcenie? Rodzice? Wzięliby za wyrachowanie. Koledzy zdziwiliby się. Zwariował czy co. Ależ frajer!

Co jej odpowiedzieć? Milczałem.

W te dni z przyjemnością wyręczałem ojca i Kryskę w drobnych pracach. Dawałem „chudobie” - jak powiedziałby Grzesiek - jeść. Krowy obwąchiwały mnie ciekawie, a próbując poszturchiwały łbami, gdy napełniałem sieczką żłoby. Staruszka Raba wyciągnęła szyję do podrapania, dalibóg! wzruszające. Rozejrzałem się za Żuczka, za Czarnuchą. Świadomość, że dawno ich nie ma, ścisnęła mi gardło jak wspomnienie o nieżyjących przyjaciółach.

Drugiego dnia wieczorem poszliśmy z Kryską na zabawę w Guzowie. Po tanecznych emocjach spałem rano jak zabity. A pociąg do Warszawy odjeżdża przed szóstą. Obudził mnie ojciec.

- Przespałem? - zawołałem w popłochu.

- Nie pojedziesz. Pomożesz gnój wywieźć. Dwa dni i będzie po wszystkim - powiedział.

Przez okno widać było wóz na gumnie, do połowy napełniony obornikiem.

- Nie mogę! - zachnąłem się. - W piątek kolokwium z matmy!

- E tam, kolofium... Kiedyś tydzień szkoły opuszczalesz na kopanie i nie szkodziło. Zostaniesz. Zostałem.

Kryska przyniosła ze strychu zeszłoroczne portki, jakąś bluzę, chodaki. Sama obuła gumowce. Wzięliśmy się do wideł. Ona, drobne chu-chro, wiodła pierwsze skrzypce (czy wolno użyć tego porównania przy gnoju?). Mnie dawała się we znaki przerwa w robocie. Obornik, ugnieciony raciami krów w zimowe miesiące, poddawał się widłom po uciążliwej szarpaninie. Kwaśne, ciepłe wyziewy moczu i łajna, opary amoniaku zatykały oddech, strużki potu płynęły z karku, spod pach, po zgiętym krzyżu, wytężonych udach. Wyrzucaliśmy przed próg ciężkie płyty. Zajeżdżał wóz - ładowaliśmy. Ojciec wiozł obornik w pole, pod zaplanowane kartofle. I tak w kółko Macieju. W południe zaszliśmy do chaty na pół godziny, zjeść i odpocząć. Matka usmażyła cebuli na słoninie. Ojciec wytarł żółto-czarne ręce o spodnie. Zjedliśmy jeszcze świątecznej bułki z mlekiem. I na gumno. Tak minął nam wtorek - trzeci dzień świąt, jak to mówią. Ale i środy nie starczyło, roztrząsaliśmy nawóz w czwartek do południa. Ojciec przyorywał. Przygrzało słońce. Zbliżała się pora odjazdu. Kryska poszła do domu przygotować mi paczkę. Pośpiesznie rozrzuciwszy ostatnie kopice, podszedłem do ojca, pożegnać się.

Ojciec zatrzymał konie. Siadł na grzędzieli. Wyjął papierosy. Zapalił.

- Ciężko mnie, Paweł - powiedział. - Ciężko. Stałem, wspierając się na widłach. Patrzył mi pod nogi.

- Co będzie dalej...

Wiem, myślał nie tylko o sobie. O tym myślał, że gospodarstwa gubią rytm. Przedwojenny oberek nie popłaca. A nowocześnie tańczyć nie ma komu. Choćby i w Rabarbarze.

Siedemnastu rolników, a młodego następcę rna tylko Sołowiej. Podobnie jest w Guzowie, w Kościanach, w Brukach. Młodzi nie wracają ze szkół. Dostają pracę, starają się urządzić w mieście. Zapisują się do spółdzielni mieszkaniowych. Owszem, w żniwa biorą urlopy, przyjeżdżają, pomagają, to ładnie z ich strony, ale to nie to...

- Paweł, żeby ja był młodszy! Ja z tej ziemi miałby więcej jak in-żyniery w fabrykach. Na co mnie miasto.

66

67

Odpowiedziałem oględnie, że młodzi znajdują w mieście samodzielność, szybszy zarobek, rozrywki, towarzystwo. Większą wolność.

- Co, w fabryce wolność? - zaprzeczył.

- Owszem, w fabryce dyscyplina jak w wojsku, ale tylko przez osiem godzin. Za to po fajrancie - wolność...

- Na gospodarstwie wolność cały dzień.

- Niby-wolność. Jest się parobkiem u swoich krów, koni, u swojej ziemi...

- No a co będzie, jak wszyscy puciekają? Co będzie. Ziemia bez człowieka chleba nie wyda...

Co odpowiedzieć... Ze się zmieniło? Że on i ja jesteśmy ostatnimi z rodu, którzy nakrywali konia swoją marynarką, przyjaźnili się z krowami?

Dopalił papierosa, wstał.

- Zobaczymy, co tam góra wymyśli - powiedział, podając mi rękę, i szarpnął lejce. Lemiesz zazgrzytał w piachu. Patrzyłem - ojciec szedł z dłońmi na cepigach, chudy, przygarbiony. Pług co chwila wyskakiwał na kamieniach z bruzdy. Wtedy szarpał lejce i klął na konie. W pociągu zacząłem liczyć w rytm postukiwania kół: hektar - sto metrów na sto metrów. Na szerokości stu metrów mieści się trzysta bruzd. Każda ma sto metrów długości. 300 bruzd x 100 metrów = 30 kilometrów. Rany boskie, to aż tyle?! Żeby raz zaorać jeden hektar, trzeba aż trzydziestu kilometrów nużącego dreptania, szarpaniny na nawrotach, potknięć, przekleść?! A ojciec tak chodzi w kieracie bruzd od lat sześćdziesięciu...

Cztery godziny później wszedłem do akademika. Koledzy rozłożyli domową wałówkę na stole. Rozpakowałem i ja walizkę. Doprawdy wesele moglibyśmy urządzać na trzydzieści par! Wśród ciastek, kielbas, kurczaków, stała jak czapla Markowa półlitówka. Kolokwium z matmy odłożono nam na przyszły tydzień. Nic nie stało na przeszkodzie - wypiliśmy. Zaraz potem Marek poszedł do swojej dziewczyny. Natychmiast wsunął się do pokoju repetent Slim. Drapiąc się pod piżamą, pałaszował nasze pasztety, kielbasy, jak Zagłoba bąjał o swych przewagach na polu bitewnym. Słuchałem...

Lemiesz zgrzytał i zgrzytał.

Impreza

Zielone Świątki, dzień odpustu i zjazdów rodzinnych, wypadły w pogodę iście marcową. Zielono było, ale chłodno, północny wiatr wciskał się nam do rękawów i pod poły. Jechaliśmy do Kościan na sumę. Za lasem ujrzelśmy nad Lipkami wykwity burego dymu i Gienek bez namysłu skręcił wufemkę w lewo. Nic nie alarmuje na wsi ostrzej niż pożar; co lato nieodgadnionego dnia rozlegało się w którejś stronie dzwonienie o pomoc - wtedy polami biegli wszyscy, kto mógł, na przelaj po zasiewach. Nie widziałem nigdy ognia z bliska - starsi zostawiali mnie domu pilnować. Na moje skargi ojciec wzdrygał się: Niech Bóg całe życie uchowa cię od takiego widoku... Witek raz, z litości chyba, przyniósł mi z pożaru pieczonych jabłek. Spłonęło wtedy Klewinowo. Za wcześnie - przyznał - jeszcze nie dojrzały. Ale fajnie się spiekły, masz, posmakuj.

Przeważnie paliło się od pioruna.

Zaraz za górką ogarnął nas harmider psów, krów i gęsi, pocięty krzykami kobiet. U wjazdu do wsi stało pod topolą kilkanaście motocykli. Tu Gienek zostawił swój i dołączyliśmy do publiki. Płonął dom Żurka, drugi z krają. Chłopcy z Bruków, Guzowa, Rzewienia przyglądali się scenie, paląc papierosy. Wśród nich Mietek Ślązak, Kazio Olimpijczyk, czterech Dębowskich. Podałem rękę wszystkim, także pętałom, którzy dopiero co ukończyli podstawówkę, aby nie było gadania, że mądrzę się z powodu mojej politechniki. Szeleścił ortalion, lśniły białe mankiety. Ubrani byliśmy odpustowo, nie do gaszenia pożaru.

Na razie płonął dach. Kilku mężczyzn w rozchełstanych koszulach podbiegało do ognia z wiadrami. Chlustali wodą z daleka, bez skutku, nedorzecznie. Żurek siedział okrakiem na oborze, bronił się przed

69

iskrami. To polewał z wiadra strzechę, to podskakiwał i rwał pazurami słomę. Wiatr kolebał płomieniem, niósł w powietrze różowe strzępy. I na innych budynkach, na kalenicach, gospodarze czyhali z wodą na spadające żagwie. Nie wyglądało to tragicznie; gdyby nie wiski kobiet, można było pomyśleć, że odbywa się jakaś impreza, tym bardziej że chmury zlażyły ze słońca i zieleń dokoła pojaśniała świątecznie. Podeszliśmy bliżej, na granicę ciepłych wirów, nadstawiając do ognia zziębnięte jazdą kolana i ręce, lecz Mietek przytomnie zauważył, że

iskry zagrażają naszym ortalionom, i cofnęliśmy się. Jakiś niepokój kazał mi bąknąć chłopakom, że trzeba by się włączyć...

- Jak?... - skrzywił się Mietek Ślżak. On chyba był szefem naszej grupy: jako górnik, z powodu wystroju oraz emzетки. - Jak ratować? A zresztą... - Kopnął kamień wąskim szpicem.

- Co, tę zgniłą budę, psiakrew, ratować?...

- W zeszłym roku... Z urlopu wracałem... - podjął. - Było to za Skierniewicami, tłuok choleryczny, w przedziale siedziało dwóch wsiowych, starszawych. Patrzym w okno, a tu wioska się pali, dwieście metrów od toru. Dym, swąd... Ci starzy, psiakrew! Żebyście widzieli, jak oni...

Z sąsiednich chat baby truchtem wynosiły na łąkę pościel, obrazy, ubrania. Poduchy jak olbrzymie gęsi białły wśród zieleni. Wrzeszcząc, biegła ogrodami Kamińska, stara dewota, z talerzem w wyciągniętych rękach, czerwona, rozgrzana. Patrzyliśmy, jak tarabani się na płot. Przekładając nogę, zachwiała się na sztachetach, runęła twarzą w dół, talerz potoczył się w piach. Podbiegłem pomóc. Zgarniała z ziemi rozsypaną sól.

- Chleb zginał - jęknęła - gdzie chleb... Podniosłem zeschnięty glonek, chwyciła, ucałowała. - Święta Agato, zmiłuj się!

Obrzuciwszy nas nieprzytomnym spojrzeniem, pognęła dalej. Chleb świętej Agaty, jak wiadomo, broni od ognia chaty... Kazio Olimpijczyk - olimpijczykiem nazwała go „Gazeta Białostocka” za zwycięstwo w olimpiadzie matematycznej - nie wytrzymał nerwowo.

- Średniowiecze, kurwa - zaklął. - Zabobon. -1 starannie przydeptał butem niedopałek.

Na drodze z Kościan zaroilo się od fur i motocykli. Pierwszy pedałowal Stefan „Super” - zeskoczył w biegu, pchnął rower w naszą stronę i pobiegł, zdejmując po drodze krawat i podciągając mankiety. Za nim Lipkowscy lecieli na ratunek. Konie cwałowały, gospodarze szar-

70

I

pali lejce na stojąco jak w rydwanach. Stefan już ciągnął skądś beczkowóz w stronę kaczaj sadzawki. Na okamgnienie obejrzał się.

- Alfonsiki - zawołał do nas - pomóźcie!

Ślżak odkręcił się tyłem i założył ciemne okulary, to samo uczynili dwaj Dębowscy i Olimpijczyk. Z rękami w kieszeniach patrzyli, jak płonie dom. Z trudem powstrzymałem w gardle czkawkę i stąpiłem krok do przodu. Przy sadzawce ktoś wetknął mi do rąk wiadro. Pośliznąłem się w błoto po kolana. Pomogłem Stefanowi napełnić beczkę i chwyciwszy hołoble, podciągnęliśmy dwukółkę pod Żurkową oborę. Stefan uczepił się pierwszej łąty i podawał wiadra Żurkowi, ja czerpałem.

- Uff, w porządku - odetchnąłem. - Teraz w porządku...

Wokół ognia plątały się kwiczące prosiaki, a po łące, przeskakując pierzyny, galopowały spłoszone konie. Z hukiem runął strop chaty, wzbijając wysoko różowy kłęb iskiek. Wiatr zakręcił nimi, sypnął pod topolę. Ktoś krzyknął: - Benzyna! - i chłopcy w panice prysnęli do motocykli, odprowadzić je w bezpieczne miejsce. Chwyciłem hołoble i z rozpędem wjechałem do sadzawki.

Znow nadbiegł Stefan - w zachlapaney koszuli, połyskując kalessonami spod rozdartych spodni. Uczynny był zawsze, odkąd go pamiętam; starym kawalerem pozostał chyba też z nadmiaru aktywności i powodzenia. Wyłysiał, przytył, a i dziś nie opuści żadnej zabawy w Guzowie: siada z kuflem przy piecu i smakując piwo, przygląda się - on, guzow-ski król oberka i poleczki - jak moich rówieśników uczyć surfa, letskis-sa i innych przywiezionych ze stolicy nowości.

„Babskie tańce, te kisy - komentował pogardliwie. - Wy nowocześni jesteście bez jajek...”.

Gdy znowu podciągnęliśmy beczkowóz pod oborę, Żurek krzyknął, żeby ratować siewnik, który stał blisko ognia, między chatą a oborą. Natarłem z bosakiem - osmaliło mi policzki,

cofnałem się z sykiem. Stefan spróbował: skoczył naprzód, zasłaniając twarz ręką, zaczepił za szprychę, szarpnął, nie dał rady, odskoczył jak oparzony, zostawiając bosak. Wtedy sturlał się ze strzechy Żurek, podbiegł, chwycił za koniec drzewca, podciągnął. Syczał z bólu, a ciągnął. Stefan znowu podskoczył, szarpnęli razem, holowali siewnik skurczeni od wysiłku i żaru, wolniuszko, aż do bramy. Stefan rzucił się do beczkowozu obmyć twarz. Był bez brwi i rzęs. Wtedy zawyła syrena i pokazały się naraz dwa wozy. Nadjeżdżali strażacy z Kościan i Suraza. Popisowo rozrzućli węże. Zahuczały pom-

71

py, strumienie wody lunęły w płonący zrab. Ogień je połykał i krztusił się zwojami dymu, coraz czarniejszego.

Bez pośpiechu odszedłem sobie na łąkę. W zielonej kałuży opłukałem starannie buty, nogawki, rękawy. Woda była ciepła. Po całym ciele rozplywało się rozkoszne jak wódka samozadowolenie.

Chłopcy stali opodal kręgiem, zaabsorbowani czymś nowym. Podszedłem. W środku Ślązak, wściekły, badał w płaszczu dziurę od ognia, wielkości złotówki.

- Włoski ortalion nie szmata - powiedziałem - da się zakleić... Zawstydział się jakby i wyjął z kieszeni dwa grube cygara, jednym mnie poczęstował.

- No i co tamci wsiowi w pociągu? - zapytałem, aby przerwać milczenie.

Trzymał cygaro trzema palcami, elegancko, gdzie on się tego nauczył?

- A nic - mruknął, przyglądając się swoim butom. - Pogłupieli. „Zatrzymać pociąg! Na ratunek!”. Jeden skoczył do hamulca, ledwie go odciągnąłem... - Tu Ślązak popatrzył na nas z niepokojem i dorzucił: - No czego? Pożar pożarem, a elektryczne pociągi muszą jeździć co do minuty...

- Ale czemu ty na Zurkową chatę powiedziałeś buda? - przyczepiłem się. - Twój dom nie inny...

- Buda - potwierdził. - Mój dom też buda. Budy i zgniła wiocha. A zgniłe wiochy, bracie, trzeba wypalić...

Olimpijczyk zaśmiał się, nie za głośno, nie wiadomo było jeszcze, czy Ślązak żartuje, czy mówi serio.

- Wkurzę się kiedyś - ciągnął Ślązak, splunawszy - i dalibóg puszcę starych z dymem.

Cygaro moje zgasło, choć ssałem potężnie. Ślązak cisnął swoje o ziemię.

- Ryję jak kret - wybuchnął raptem - co miesiąc ślę starym patyka. A wiesz, co oni robią z moją forszą? Myślisz, że puszczają na żarcie, na ubrania? Nie, psiakrew! W ziemię ładują! Ojciec mówi: Weźmiesz po mnie gospodarkę jak cacuszko. A po cholere mi! Ja to cacuszko mam wiesz gdzie?! Wiesz gdzie? - powtórzył, szarpiąc mnie za rękaw.

- Wiem... - odrzekłem i dodałem, że można by już jechać. Nic tu po nas, a szkoda odpustu.

Mężczyźni, baby i dzieci otoczyli zgliszczce kręgiem i przyglądali się dymiącym resztkom w milczeniu pełnym szacunku. Jeden Żurek biegał wokół bez sensu. Stefan ciągnął skądś dwukólkę. Był w obłocnej koszuli, włosy zalepiły mu twarz strąkami.

- Bohater - zaśmiał się Ślązak z nienawiścią. - Durny bohater... Tamten zrobił dwa, trzy kroki rozpędu i pchnął dwukólkę po pochyłości prosto na nas.

- Łapcie, alfonsiki! - krzyknął beztróska. Odskoczyliśmy. Beczkowóz zawadził kołem o kamień, skreślił i z rumorem wpadł między nasze motocykle, obalając je na ziemię.

- W mordę!... - jęknął Ślązak i wtuliwszy głowę w ramiona, pobiegł za chłopakami, zobaczyć co z emzetką.

Farma

Czwartą Wielkanoc studencką spędziłem pracowicie w akademiku. Zaraz po świętach Kryska zaprosiła mnie listownie na swoje wesele. Wychodziła za jakiegoś malarza z Białegostoku.

Bardzo miły i dobrze zarabia - pisała. Domyśliłem się od razu, że chodzi o malarza

pokoju. Ale na wesele nie pojechałem. Wszystkie wieczory i co drugą noc śleczalem nad rajzbretem. Ogłoszono na wydziale konkurs na projekt wiejskiego domu handlowego w Zagroździu - mieścinie odległej zaledwie o piętnaście kilometrów od mego Rabarbaru.

Ministerstwo fundowało ponętne nagrody - grubą forszę, wycieczki zagraniczne. Studenci rzucili się do rysownic jak do miodu, hurmą, choć piwo w wiejskiej spółdzielni pijał może co piąty, a takich, co siusiali na węgiel, zdaje się, mógłbym policzyć na palcach. Marzyło mi się zwycięstwo i splendor w rabarbarskiej okolicy.

Na początku maja, w porze sadzenia kartofli, nadszedł list od ojca. Nie było ciebie ani we święta, ani na weselu. Przyjeźdź koniecznie, są ważne sprawy - pisał. Wiadomo, co ukrywał pod spodem. Przeto ukończywszy projekt, pojechałem.

Zastałem w domu Kryskę i malarza: przyjechali pomóc. W trójkę odwaliliśmy to sadzenie kartofli w ciągu dwóch dni. Nowy szwagier spodobał mi się. Jest człowiekiem delikatnym. Bez słowa patrzył na ojcowe porządki i matczyne gospodarstwo, ale widać było, że ma chętkę przewrócić wszystko do góry nogami. Kryska zwierzyła mi się na osobności, że Władek ma prawie pięćdziesiąt lat, ale co tam! Dobry. Prezenty kupuje co drugi dzień. Mówi, że nie puści jej do pracy. „Wystarczy, że domu dopilnujesz i dzieci wychowasz”. Oboje marzą o synku. Ojciec przedstawił mi swój plan do oceny:

- Nastawię gospodarstwo na hodowlę owiec. Owce, rozumiesz, to okazja. Raz, że dają pieniądze za wełnę i za jagnięta zarodowe. Dwa, że roboty przy nich mało. Zasięję pole trawą, ogrodzę pastwiska... Świnie i krowy sprzedam. Zostanie mi pół roboty. To i w pojedynkę dam radę na gospodarstwie...

Gdy do tego wyluszczył mi ceny jagniąt i wełny, pojąłem, że mój stary odkrył żyłę złota. Nie starczało mi słów dla zachwytu.

- No to w porządku - ucieszył się. - Przyjedziesz na żniwa, wtedy załatwisz kontraktację. Dopilnujesz, żeby przydzielili nam merynosy albo kentysy. Bo ja już sił nie mam łązić po urzędach.

Minął maj. Na początku czerwca doktor M., kończąc ostatni wykład, pożegnalnie ściszył głos i zwrócił się do nas, przyszłych inżynierów, takimi słowami:

- Koleżanki, moim zdaniem, nie muszą zarabiać dużo. Ot, trzy, cztery tysiące miesięcznie.

Ale panowie... Panowie! Moim zdaniem, inżynier, który nie zarobi dziesięciu patyków, to, za przeproszeniem, dupa nie mężczyzna. I chociaż, drodzy koledzy, nie pieniądze stanowią o szczęściu, życzę wam, abyście...

Doktor M. pracuje w pięciu instytutach naraz. Buduje także za granicą. Rozwodzi się, żeni i jeszcze ma czas na wycieczki do Włoch. Jest człowiekiem z wszech miar godnym szacunku i podziwu. O, wielu jego dawnych i obecnych wychowanków haruje na miano mężczyzny. Ja zaś, słysząc owe fundamentalne słowa, przypomniałem owce.

Tędy droga! - pomyślałem, niespodziewanie dla samego siebie.

I w lipcu, zbierając żyto za kosiarką, tłumaczyłem ojcu w przerwach między pokosami.

- Pierwszy rok, tato, popilnujecie merynosów sami. Ja tymczasem szybko zrobię dyplom, a wtedy weźmiemy się do interesu we dwójkę!

Ojciec aż kraśniał od tej nadziei. Mówił niewiele, lecz z bata trzaskał jak młodziak. Spoglądał na pole i już pewnie widział pod brzożami jagnięta turlające się niezdarnie i maciory wielkie jak kopy siana. A w osobnej zagrodzie porykujące niczym lwym rasowym barany...

Pierwszego dnia niepogody pojechałem do Białegostoku załatwić kontraktację i przydział „materiału zarodowego”. Szczęście mi dopisało: ktoś wycofał się z kolejki. Od ręki napisałem sążniste podanie, w którym wzruszająco scharakteryzowałem sytuację ojcowego gospodarstwa na tle rolnictwa w kraju i za granicą. Kierownik przeczytał moje memorandum kilkakrotnie.

- Chyba załatwimy pozytywnie - oświadczył wreszcie. Przyobiegał dwadzieścia jagniąt z krzyżówki kentów z merynosami. Podziękowałem mu i skierowałem swe kroki do kina. W Tonie wyświetlano film pt. „Hud, syn farmera”. Pasował do mej sytuacji jak ulał. Ukazywał amerykańską rodzinę farmerską. Stary hodował wielkie stado bydła. Hud był za pomocnika. W wolnych chwilach wyrwał swym krążownikiem do miasta i rozrabiał, co się zowie. Szyby leciały, mdleli faceci, kobiety szalały w jego ramionach. Ale w gospodarstwie wiodło im się nie najlepiej. Na bydło padła zaraza. Weterynarz nakazał wykopać ogromny dół, wpędzić tam bydło i wystrzelać. Scena mordu była wstrząsająca, zwłaszcza gdy dobijali ostatnią, najukochańszą krowę. Na widowni rozległy się szlochy. Równie wzruszająco pokazano scenę śmierci starego, nocą na szosie. Ta śmierć przesądziła o losie farmy. Hud zdecydował się sprzedać ziemię koncernowi naftowemu, bo znaleziono ropę. Ale dałem spokój zaoceanicznym refleksjom. Oto blisko, w zasięgu ręki, wykwiłała wizja mojego gospodarstwa.

Chłopaki zdębieją, gdy opowiem im o swojej farmie i kowbojskim życiu! Zaproszę ich do mego rancho. Rancho Rabarbar! Toż mi będą zazdrościć, gryzipiórki, garbusy kreślarskie... I dziewczynę odpowiednią znajdę! Wierzchowca kupię, siodło. Farmerki, sombrero! A w domu, oczywiście, przewrót od dołu do góry. Rodowe łóżko won na strych! Staną: kuchenka gazowa, lodówka, telewizor, tapczan i cała ściana książek. Mięso i mleko kupować będę u sąsiadów, szkoda zawracać głowę bydlęm i trzodą, rozpraszać siły. Jak specjalizacja, to pełną parą!

Nie zwlekając, zaszedłem do księgarni kupić podręczniki o hodowli owiec. Były takie. Już na chodniku zagłębiłem się w stronicie. W pociągu kalkulowałem na marginesie dochód. Wyliczyłem, że jedna owca w ciągu 6 lat - przeciętnie tyle czasu jest produktywna - da prawie 20 tysięcy złotych przychodu. A nasze gospodarstwo jest zdolne wyżywić 80 sztuk. Liczyłem nakłady...

Wynik bilansu był imponujący: oto przy pełnym rozruchu, w ciągu sześciu lat osiągniemy z ojcem co najmniej milion czystego dochodu. Czyli 80 skuterów Osa albo 10 wartburgów, albo 200 wycieczek do Francji! I spojrzawszy w okno, ujrzałem świat kolorowy i powabny, choć po szybie ściekały strużki deszczu. Pękłbyś z zazdrości, doktorze M.! Z przystanku biegłem do domu na skrzydłach.

- Załatwione! - wrzasnąłem od progu.

Ojciec wstał i dalibóg ucałował mnie w obydwie policzki. Pierwszy raz w życiu... Łzy napłynęły mi do oczu.

- Znaczą, Pawełek, pogospodarzymy? - upewniał się.

- Pogospodarzymy!

Deszcz nie ustawał. Cały wieczór i nazajutrz od rana układaliśmy z ojcem plan kwater na pastwiska, normy żywienia, kalkulowaliśmy koszty. Milion wyglądał całkiem realnie. W południe wtarabanił się do chaty zmoczony listonosz. W sieni otrząsnął pelerynę z deszczu, obtupał buty. Bez gmerania wydobył z torby dużą, jasnobrązową kopertę z niezliczoną liczbą pieczęci. Ojciec przeraził się, ja zadrzałem. Rozerwałem kopertę jedno spojrzenie na druk wystarczyło. Skoczyłem do góry, wałąc głową w sufit. Ściągnąłem koszulę. Szalałem.

- O Jezu... - Ojciec zbladł. Listonosz wycofał się za próg.

- Co, Pawełku? - przeraziła się matka. - Co tobie, synku?

- Tralalala! Wiwat! Bumcykcyk! Szła dziewczeczka do laseczka! Usiadłem na podłodze.

Czekali w bojaźliwym napięciu, wciąż nie wiedząc - radować się czy płakać.

Zacząłem czytać:

- „Szanowny panie! Jury konkursu na wykonanie projektu wiejskiego domu handlowego w Zagrodziu ma zaszczyt zawiadomić pana, że pierwsze miejsce przyznano pańskiej pracy. Jak

informowaliśmy w regulaminie, nagrodą jest... - Głos mi się załamał. Nie mogłem czytać dalej.

- Nagroda, jaka nagroda? - trząsał się ojciec. Opanowałem się jakoś.

- ...jest miesięczna wycieczka do Francji ufundowana przez ZSP oraz premia pięciu tysięcy złotych ufundowana przez ministerstwo. Nadmieniamy także, że budowa domu handlowego w Zagrodziu zacznie się - oczywiście, po konsultacji z architektem powiatowym i dokonaniu nieodzownych poprawek - już na jesieni bieżącego roku...".

Gdy skończyłem, zapadła wielka cisza. Ojciec, matka, listonosz patrzyli na mnie jak na Kościuszkę pod Racławicami. Matka zasłoniła oczy ręką, blask taki bił ode mnie.

- Jezu, Pawełek...

Pierwszy odzyskał przytomność listonosz.

- To co, lecieć po wódkę?

76

77

- Leć, Leon! - wrzasnąłem. - Leć! Rozumiecie? Będą robić mój projekt! Mój projekt! I to w Zagrodziu! I Francja! I pięć tysięcy! O rany...

Ojciec klepnął się po udach.

- Pięć tysięcy - ucieszył się. - Pierwszorządnie. Piękny zadatek na jagnięta!

Zamrugąłem.

- C-co mówicie?... - szepnęło mi się.

Muzeum

Znaleźliśmy się z ojcem w Ciechanowcu przypadkiem, w związku z moją budową w Zagrodziu. Stanęliśmy na rynku... Zaraz wpadła mi do głowy myśl, szczerza, nieszkodliwa, która skutki miała nieoczekiwane.

- Chodźcie, tata, do muzeum - zaproponowałem.

- Do muzeum?

Ojciec ma lat siedemdziesiąt. Dużo w życiu przeszedł. Trzy wojny pamięta, cara, dwa wyzwolenia. Ale w muzeum nie był nigdy. Przestraszył się nieco, zmieszał, ale zastanowiwszy się, zaryzykował. Poszliśmy.

Ciechanowieckie muzeum rolnicze im. Krzysztofa Kluka mieści się w odremontowanej remizie. Otynkowane to, połatane, ale remizą zostało. Ojcu, gdy ujrzał swojski budynek, humor od razu się poprawił. Weszliśmy. Zaraz za progiem stoją w sieni stare ule i kołowrotki, wiszą lampy naftowe, leżą żarna, rozkracza się stara sieczkarnia. Ojciec zatrzymał się przed nią, palce mu się zaruszały. Nachylił się, zajrzał, pomacał. Nauczyciel sprawujący tego dnia rolę kustosa delikatnie zwrócił uwagę:

- Ekspонатów dotykać nie wolno...

- Jaki tam esponet - obruszył się ojciec. - Sieczkarnia całkiem do rzeczy. Tryb wstawić i pójdzie, że ho!

Kustosz uśmiechnął się, a ja wytłumaczyłem ojcu, że tu się wystawia rzeczy nie do sprzedania, lecz na pokaz. A przedmioty wystawione zwie się ekspонатami.

- Aha... - zrozumiał. - Esponaty...

Weszliśmy do głównej sali, zagraconej od podłogi po sufit. Mój stary rozejrzał się i znieruchomiał. Stał jak słup. Tylko oczy mu skakały. Gdy się odezwał, głos jego kapał się w rzewności.

79

- Jezu, wóz! Drewniany...

- Jarzmo!

- Krosna, psiakręć!

- Radło...



Rozumiałem ojcowe wzruszenie, to cofanie się w przeszłość, własną przeszłość, nie jakąś tam egipską czy etruską. Co do mnie byłem w niejednym muzeum, oglądałem rzeźby takie i siakie, podziwiałem oryginały obrazów znanych mi dotąd z książek. Ale nigdzie nie wzruszyło mnie tak jak w ciechanowieckiej remizie. Ojciec miotał się.

- Patrz, Paweł, sieczkarnia z kosą! Toż ja na takiej sieczkę ciął pięćdziesiąt lat temu. O tak, lewą ręką przesuwano się słomę, a prawą -ciach! Matko Boska, balejka! - Staliśmy przed balią. - Balejka he he he! - rżał ojciec na całą salę. - Wielkanoc, Boże Narodzenie... A ja gołkiem, golusieńki... he he!... miała się babka ze mną przy myciu - śmiał się, obmacując szerniałe klepki.

Czego tam nie ma, w tym muzeum! Są i motowidła, i kosze, i świątki, i drewniane widły, sochy, łyżki, warząchwie, gliniane dwojaczki... Na płaskim kamieniu rozłożono kije pastusze - sękate, rzeźbione, gięte we wrzątku, osmalane w ogniu. Pociągnąłem nosem, bo dalibóg, przez salę jakby przeleciał swąd dymu, któryśmy ze Stolarczukami łykali na bru-kowskich łąkach. Zezowałem tylko, czy aby przy krosnach nie zasiądzie babka i nie zacznie furkotać członkiem, czy za wozem nie stanie dziadek z mazielnicą w ręku i nie zacznie smarować drewnianych osi...

Ojciec był wstrząśnięty. Z początku hamował się. Potem chodził wzdłuż ścian z opuszczonymi rękami i gubił łzę za łzą. Wyszliśmy - nie pomogło. Jakby puściły więzy, którymi dotąd się spinał. Nie ukrywał wzruszenia. Szedł obok mnie bezbrinnie stary.

Wsiedliśmy do autobusu. Milczał całą drogę.

Do domu zajechaliśmy na wieczór. Pomogłem zadać karmę świniom. Nanosiłem z piwnicy kartofli do parnika. Wydoilem nawet krowy. Mój stary chodził po gumnie jak błędny. Zapominał o drzwiach. Wracał dwa razy po to samo. Gubił, szukał. Poszarzał jakoś, głowę wcisnął w barki. Gdyśmy obrządzili wszystko, stanął na środku gumna. Uważnie przyglądał się wyłysiałym strzechom, koślawym węglom, zbutwiałym drzwiom. I powiedział jedno słowo, bezgranicznie smutne:

- Esponety...

Siłą nawyku sprawdził jeszcze zamknięcie drzwi w oborze i stajni, przysunął bramę wjazdową. Ale zamiast pójść do chaty, jak czynił za-

80

wsze, usiadł na zrębie studni. Wyjął sporty. Nijak nie mógł przypalić, płomyk zapalki wciąż mijał się z końcem papierosa. Pomogłem. Palił w milczeniu. Wieś cichła.

A październikowy chłód wy sklepił nad nami granatowe niebo. I gwiazdy skrzyły się jak na szkle. Mrok wylał z lasu, pełzał ogrodami. Przysiadłem na kręgu studni. W głębi woda kołysała leciusieńko nasze sylwetki. Zapatrzyłem się w czarny tunel, w kołyszące się gwiazdy - i cały świat się rozkołysał, kołysał, kołysał... I wtedy ojciec, nad gwiazdami i pod gwiazdami, palący sporta w środku świata, wystękał:

-A ty?

Milczałem.

Sztanga

Po obiedzie zalegliśmy leniwie w łózkach. Żeby się sadelko zawiązało, jak mówi Władek. Tylko jedno posłanie - dolne przy oknie, pyszniło się równiutkim kocem. Jego gospodarz, Tomek, większość doby spędza w żeńskim akademiku, przy żonie. Pomaga jej kreślić projekty. Smażą naleśniki. Obściskują się. Andrzej nie wytrzymał poobiedniego bezwładu. Rzucił mi z góry słownik.

- Zaczniemy od Ku - poinformował. Poprawiłem poduszkę, rozluźniłem pasek.

- Quattrocento? - zacząłem testowanie.

- Odrodzenie włoskie, piętnasty wiek!

- Quebracho"?

Zapatrzył się w sufit, szukał punktu dla koncentracji. Za trzy dni, w niedzielę, miał startować w quizie Politechnika-Uniwersytet. Przestudiował już małą encyklopedię powszechną, słowniki kultury antycznej i folkloru polskiego. Dobrnął do 556 strony słownika wyrazów obcych.

Wpatrywał się męczeńsko w gwóźdź. Grzebał w pamięci uparcie. Przeczytałem:

- „Drzewo z rodziny nanerczowatych o bardzo twardym drewnie, pochodzące z Ameryki Południowej. Jest jednym z najbogatszych źródeł taniny”.

- Taniny... - powtórzył. - Quebracho, z nanerczowatych, tanina...

- Quipol

- Zapis sznurkowy u Inków! - odpowiedział z zadowoleniem.

- Mniej więcej. Qui pro quoi

- Pomyłka!

- Albo nieporozumienie. Quod erat demonstrandum”?

- Ciszej, mózgowcy, kurdebelans - wtrącił się Władek. Leżał z rozluźnionymi w relaksie mięśniami, według zaleceń Boba Walkera. - Bo włączę radio!

Andrzej zaciął się.

- Który był... - kombinował. - ...demonstrowanie... Władek się rozgadał.

- Dziś, Paweł, śpisz pod łóżkiem?

- Pod łóżkiem - zaśmiałem się.

Przed egzaminem, jak moda nakazuje, powziąłem ofiarę na intencję pomyślności. Wpadło mi do głowy, że prześpię się pod łóżkiem. Koledzy zza ściany bywali oryginalniejsi: raz w biały dzień zrobili rundę boso i w kalesonach wokół akademika. A podczas sesji letniej Rubens spał w namiocie na trawniku...

Ułatwiłem Andrzejowi.

- Ku kropka, e kropka, de kropka... No, panie inżynier. Wstyd!

- A ty wiedziałeś?

- Nie, ale ja nie kwizowiec.

Napiął czoło. Poczzerwieniał. Raptem go olśniło.

- Co było do okazania! Polskie: ce-be-de-o! Quod erat demonstrandum}. - Ułożył się precyzyjnie na wznak, przymknął oczy, wbijał.

- Quod erat demonstrandum... Quod... Trzeba zapamiętać, przyda się.

- Tak, tak - przyznałem. - Przyda ci się w życiu...

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł... - zerwałem się z łóżka -szwagier Kazimierz! On tu, w Warszawie?!

- Dzień dobry - rzekł przepraszająco.

- Saluto - odpowiedzieli Władek i Andrzej, unosząc głowy dla obejrzenia gościa. Prezentował się nieźle, tylko płaszcz miał gabardynowy i po wiejsku do kostek. Podał każdemu rękę, potrząsnął rzetelnie. Zdjąłem mu płaszcz. Usadawiłem na krześle przy oknie. Ujrzawszy w dole dachy domów, przymknął oczy.

- Ależ wysokość! - szepnął z podziwem.

- A co sprowadza do stolicy? - zagadnąłem bezosobowo. Rabarbar-skie „wy” rozśmieszyłyby chłopców, „ty” mogłyby go urazić, o dwadzieścia lat starszego ode mnie.

- A... takie tam sprawy. - Rozejrzał się po pokoju. - Ciasno tu u was...

Ważył, oceniał każdy przedmiot po gospodarsku, szafę, stół, piętrowe łóżka, wieszak...

Zatrzymał dłużej wzrok na plakacie. Marilyn Mon-

82

83

roe, powiększona, prężyła się jak kocica. Przyjrzał się podłodze, żółto-szarej, zapuszczonej.

Znów zerknął na plakat. - Odpoczywanie po wykładach, co? - Słowo „wykład” było zapewne jedynym, jakie znał na temat studencki.

Władek parsknął śmiechem.

- Tak, po wykładach.

Szwagier nastroszył się. Pewnie wziął śmiech za kpinę z siebie. Zawsze był nieufny, podejrzliwy. Na szczęście wiedziałem, czym można go rozgrzać. Obułem się.

- Za pięć minut wrócę...

Wróciłem z ćwiartką. Wypił sobie. Ja symbolicznie, z dna. Władek odmówił ze względu na czekające go ćwiczenia. Andrzej w ogóle wódki nie pije, snobuje się modnie w rizlingach. Z impetem wpadł do pokoju Tomek, jedyny wśród nas żonkoś, śpiewając, pogwizdując. Jednym mgnieniem oka otaksował gościa, cisnął aktówkę na regał i już bez koszuli stał przed lustrem. - „Niech ci nie będzie żaal...” - tenorkował z kremową pianą na policzkach. Goląc się, robił miny do lustra i zerkał na szwagra.

- „Redemptoryści - mrucał Andrzej - kongregacja pod wezwaniem Odkupiciela, założona przez Alfonsa Marię Oliguori, celem...” Redemptoryści, kongregacja, Liguori - wbijał. - Reductio ad absurdum...

Władek wziął głośny wdech i powstał. Zdjął koszulę. Bez certolena rozebrał się do slip, włożył gimnastyczne spodenki, obuł trampki. Szwagier z zaintrygowaniem obserwował, jak rozwija skakankę i zaczyna hycać.

- A pan co, bawi się?

- Tak, dla odprężenia - zbył go Władek.

Szwagier popatrzył wnikliwiej. Zdaje się, w jego głowie powstała już odpowiednia teoria. Puścił do mnie oko...

A Władek wyciągnął się na dwóch taboretach. Ujął czterokilowe hantle, zakreślał nimi koła w powietrzu. Szwagier patrzył z niedowierzaniem: na obłych barkach, na piersiach, pod pachami wyskoczyły nagle węzlaste sznury mięśni. Nachylił się do mnie.

- Sportowiec?

- Coś niby.

Odchrząknął. Przystąpił do rzeczy.

- A wiesz, Paweł, chciałbym u ciebie przenocować.

Tamci trzej jak jeden mąż parsknęli śmiechem. On, nic nie wiedząc o dowcipnym zbiegu okoliczności, poczerwieniał, ale ciągnął dalej.

- Jakieś łóżko wykombinujesz?

- Na moim można będzie... -A ty?

- Pod łóżkiem.

- Pod łóżkiem? - zdumiał się. - Czemu?

- Tak wyszło. - Zaśmiałem się. - Zdałem egzamin...

- Co ty? - nie mógł pojąć. - Co wy?... - Patrzył na mnie, na kulturystę, jak na stukniętych.

Tomek właśnie stanął tyłem do lustra i obserwując odbicie w ręcznym lusterku, podcinał nożycami włosy na karku. Andrzej przeżuwał słownik.

- „Rhinoscleroma - przewlekłe zakaźne schorzenie błony śluzowej nosa, krtani”. Rhino-scleroma...

Władek wytoczył spod łóżka sztangę. Koła były betonowe. Odlewaliśmy je z cementu, w tekturowych formach.

- Taak, sportowiec... - wyjaśnił sobie wszystko szwagier.

- Pan może też? - mruknął zaczepnie Władek i pochylił się. Skrupulatnie ułożył dłonie na rurze-drażku. Odczekał chwilę i, sapiąc, dźwignął kilka razy sztangę do kolan. Szykował się do podrzutu.

Szwagier przyglądał się podniecony. Widziałem: dostał chętki!

I przeczynałem, co chce uczynić. Zresztą, niczym innym nie mógł nam zaimponować.

- Można spróbować? - Głos mu drżał.

Władek popatrzył krytycznie. Gość nie prezentował się imponująco. Szczupły, chudy. Skąd Władek mógł wiedzieć, że ten chuderlak był kiedyś pierwszym gierojem w Guzowie. Kiwnął głową z ciekawością.

Szwagier zdjął marynarkę, rozkraczył się przed sztangą. Ujął drażek w dłoń.

- Ile to waży?

- Osiemdziesiąt...

Andrzej przyglądał się z góry z ironicznym uśmieszkiem.

- Pan, widzę, z tych... ambitnych?

- Każdy ma swoją ambicję - odmruknął szwagier. Obmacywał dłońmi drażek, zaciskał palce, rozluźniał... Czoło załśniło mu potem. Popatrzył poziomo na kaloryfer i westchnął. Nie mógł zdecydować się na szarpnięcie. Wiedziałem już, nie da rady.

84

85

- Kazik, a machnij ty ręką na to gówno - podpowiedziałem, zaniepokojony. - Po wódce się mordować? Niezdrowo.

Władek zrozumiał.

- Fakt, panie Kazimierzu. Ja po wódce i pięćdziesięciu bym nie podrzucił.

Szwagier nie skorzystał z okazji.

Dźwignął sztangę do kolan, żeby wyczuć ciężar.

- Pójdzie!

Skurczył się, zastygł w bezruchu i - szarpnął! Właściwie miałby sztangę na piersi, gdyby wszedł pod drażek głębszym przysiadem. A tak - lewa ręka załamała mu się w przegubie, sztanga runęła, betonowe koło się rozpekło, a szwagier runął pod łóżko. Sąsiedzi z niższego piętra natychmiast zastukali szczotkami w swój sufit. Władek ze złością kopnął trampkiem okrusz betonu.

- O kurrr!

- Ja niechcący... - sumitował się szwagier, czerwony ze wstydu. -Ja... ja zapłacę...

- A ostrzegałem - przypomniał Władek.

- Za drugim razem na pewno... - bąknął szwagier - na pewno bym podniósł. Tylko... -

Popatrzył na odłamki.

- Tylko co! - warknął Władek.

- Tylko, ha, ha, ha - zaśmiał się Andrzej - tylko nie ma co podnosić.

- Panie ten... ja odkupię... zrobię. Wódkę może postawić?

- Dobra jest, Kazik - poklepałem szwagra. - My to już tutaj załatwimy między sobą. Zrobimy nowe koło. Mnie postawisz, w Guzowie.

- A wniosek z tego taki - włączył się Tomek, kończąc strzyżenie -że nie warto chcieć za dużo...

- Bo się wszystko rozleci - podsumował Andrzej. Szwagier trącił mnie łokciem.

- Ja już pójdę - szepnął. - Ja przenocuję u ciotki... w Rembertowie...

- Ależ naprawdę jest wolne łóżko.

- To nic... ja jakoś...

Wstał. Włożył płaszcz. Podał im rękę, nie patrząc w oczy.

- Czego pan ucieka - zreflektował się Andrzej. - Nikogo pan nie obraził.

Szwagier mruknął coś nieokreślonego, wyszliśmy. Nie upierałem się, żeby został. Honor mu się rozsypał jak ten betonowy krąg.

- To z tą sztangą załatwisz? - upewnił się przy windzie.

86

- Załatwię.

- Weź sto złotych.

- Nie trzeba. Obejdzie się bez forsy.

- Zrobicie nową?

- Jasne.

- He! - Rozjaśnił się. - To ja tu... - buchnął mnie pięścią w pierś. - To ja tu jeszcze, kurwa, przyjadę.

Stryko Filip

Stryko Filip przychodził do nas co niedziela z rana. Gdy zaszczeakał Żuczek, ojciec wyglądał przez okno, a my, dzieciaki, biegliśmy hurmą do drzwi. Słysząc było obłupywanie butów w sieni, chrobotanie skobel-ka i oto w kłębach pary ukazywał się oszroniony chochoł.

- Niech budzie pochwalony... - mówił. Dalsze słowa ginęły wśród chrzęstu i posapywania.

Zdejmował czapkę, otrzepywał nią szynel i bucior, smarkał na podłogę i rozmazując to podeszwą, zagajał dudniąc, jak to głuchy:

- A szto czuć u was tutaj w Rabarbarach, a?

To mówiąc, zanurzał rękę w przepastne kieszenie i wyławiał skądś tam gruszki - suche, pomarszczone, pachnące fajerkami i szynem - dawał nam po jednej i rozsiadał się na ławie koło pieca.

Cztery pary wytrzeszczonych oczu oglądały rozpoczynające się misterium.

Ojciec odpinał pasek, zaczepiał sprzączkę o gwóźdź przy oknie i ostrzył brzytwę. Splunąwszy na pędzel, mydlił strykowi brodę i zabierał się do golenia. Tymczasem matka stawiała na stole miskę kapuśniaku z pływającym kawałkiem słoniny. Wygolony, lśniący stryko jeszcze raz wycierał oczy z ropy i nos, żeby nie kapało do miski, i między jedną a drugą łyżką strawy opowiadał, komu w Michaliczach zabrano krowę za podatki, gdzie były swaty i która panna grubieje. Pluł, ślinił się, lecz gawędził porywająco.

- O, żeby tak gospodarzył - mawiał ojciec - byłby najbogatszy w Michaliczach.

Gospodarz był ze stryka nietęgi. Chował krowę i kota. Kosę szykował, gdy inni kończyli żniwa. Snopki zwoził z pola taczka. Niezmien-

nie, lato czy zima, chodził w wojskowym szynelu, baraniej czapce i gumowych trzewikach.

Gdy ludzie pytali o przyczynę takiego lenistwa, wyjaśniał bezwstydnie:

- Od roboty czelowiek dureje...

Za to gdy przyjechało do wsi kino, pierwszy zjawiał się w sali. Za bilet nie płacił.

- Za szto? - oburzał się. - Ja głuchi. Ja niczoho nie słyszu! Siadał w pierwszej ławce wśród dzieci, półtora metra od ekranu, tuż

przy piecu, na którym stał głośnik. Dzieci tarnosiły stryka za poły, wrzucały mu kamyki i ogryzki do kieszeni. Wyszurchany, wyszczypany, wychodził z kina promieniejący. Później, w niedzielę, opowiadał ojcu historie cudacznie zmontowane z niemego dlań filmu. Słuchałem tych opowieści z otwartymi ustami, porównywałem. Jego filmy były ciekawsze.

Przez tę głuchotę nie dopuszczał do głosu rozmówców, obracanie językiem męczyło go mniej niż słuchanie. Na zebraniu w sprawie zorganizowania spółdzielni produkcyjnej w Michaliczach wstał i puściwszy oko do sąsiadów powiedział delegatowi, że najlepiej żyło się za cara: było więcej śpiewów, wesołości. Nawet psy głośniejsze czekały, oświadczył, bo dziś to tylko rozdziawiają się. Sala zahaczała od śmiechu, delegat speszył się. Nie wiedział, kiedy stryko ogłuchł, i dowcipu nie rozumiał.

Z ojcem stryko rozprawiał o polityce. Beztrósko mylił Szwedów ze Szwabami, nazwy gór przypisywał morzom, Kościuszkę miał za króla, Kopernika za muzyka. Ojcu było wszystko jedno, niewiele wiedział o jednym i drugim. A ja dziwiłem się niewiedzy ludzi, przecież ode mnie starszych i mędrszych.

Którejś niedzieli zaszczeakał jak zwykle Żuczek, zagruchotało w sieni i w drzwiach stanął ktoś w kapeluszu i szarej jesionce. W pierwszej chwili cofnęliśmy się od progu, zaskoczeni. Gość jednakże smarknął przez palce na podłogę.

- Stryko Filip? - wytrzeszczył się Witek. A on junackim gestem stawiał już na stole ćwiartkę.

- Dau ja uczora na zapowiedzi! - oznajmił wśród napiętej ciszy. Matka upuściła miskę. Ojciec wstał, myśmy zapiszczeli z uciechy.

Stryko się żeni! Nie wierzyliśmy uszom i oczom.

Pamiętam, chodziło o Karolkę z Suraża. Miała trzy hektary łąki nad Narwią, dwie krowy, paniąską wyprawę. I sześćdziesiąt lat. Ojciec, gdy ochłonął nieco, pokiwał głową.

88

89

- Swojej gliny starczyłoby tobie, Filip, pod trumnę...

- Nu, szto ty Jozef - zachnął się. - Ee, z baboj ja szcze zahospoda-ru! Mnie sześćdziesiąt let!

A ojciec na to, z przekąsem:

- Toż od roboty czelowiek dureje.

Stryko, niez pomieszany, wskazał na swój kapelusz.

- I bez roboty dureje.

Nie wypili wtedy tej wódki.

- Zaczekajmy do wesela - powiedział ojciec i stryko schował ćwiartkę do kieszeni.

Zaczęliśmy się szykować. Ojciec odgrzebał na strychu dawno nieużywane strojne chomąta krakowskie. Matka sprawiła sobie spódnicę z niebieskiej flaneli, Krysce kupiła białego jedwabiu na weselną sukienkę, mnie trzewiki. I nagle w wigilię uroczystości Bosak przyniósł wiadomość, żeby nie przyjeżdżać.

Daremnie wyglądaliśmy stryka przez następne niedziele. Zjawił się po trzech tygodniach. Był potrójnie zarośnięty i niedołączny. Potknął się na progu, z trudem wymacał stołek. Nie słyszał pytań, które wkrzyki-waliśmy mu do uszu. Zresztą już wiedzieliśmy: panna młoda nie żyje. Pogrzeb odbył się dwa dni przed ślubem. Karolka zdążyła zacząć ciasta, nawet rozpałała w piecu chlebowym. Przy robocie zaziębiła się... Do wesela się szykowała, wyszykowała do stypy.

Pech strykowy zaczął się w dwudziestym roku jego życia. Kto zawinił, trudno osądzić. A było tak:

Nasz dziadek Paweł dostał z uwłaszczenia czterdziecinowy uczałek między łąkami a lasem. Potem ożenił się z wdową w Micha-liczach, także panią na czterech dziesięcinach. Mieli sześciu synów. Klepali biedę, wędrując między Rabarbarem i Michaliczami, póki synowie nie odrośli od ziemi. Wtedy się zmieniło. Każdej wiosny dziadek rozwoził ich po wsiach paść krowy na wspólnotach. Pastuch generał - śmiali się ludzie ze starego, ale do czasu. Jesienią ruszał dziadek w drugi kurs: brał po trzy pudy żyta za krowę. Żaden z gospodarzy nie miał takich żniw.

Ojciec był z szóstki najmłodszy, a stryko rok starszy. Właśnie jemu wypadło iść w żołdacy na dwadzieścia pięć lat. Dziadek długo przeważał w myślach jakieś plany. A gdy przyszła ostateczna chwila, załadował na wóz trzy worki żyta i zawołał Filipa. Pojechali do Kościan, do Bambuły, który był konowalem i znał się na rzeczy.

- Widzenie czy słyszenie! - zapytał Bambuła, położywszy chłopca na ławie i nawaliwszy się ciężkim zadem na pierś.

- Słyszenie - zdecydował dziadek, odwracając oczy.

Tamten szturchnął szpikulcem dwa razy - raz w lewe ucho, raz w prawe - Filip kraknął dwa razy i odjechali. Już w Kościanach świat mu ucichł, ptaki umilkły, psy zamiast szczekać tylko się rozdziawiały.

I pasał dalej stryko Filip, tyle że nie słyszał już ani rżenia koni, ani piania kogutów. Za to dziadek przywiózł mu z Białegostoku harmonię, trzyczędwójkę, bardzo drogą. Opowiadali we wsi: gdy Filip grał, przyciskając ucho do pudła, dziadek uciekał z domu.

Potem przyszedł tyfus, potem wojna i został stryko na świecie tylko z bratem Józefem i z harmonią.

Podzielili ziemię bez swarów. Stryko poszedł na matczyne do Mi-chalicz, ojciec został w Rabarbarze. Obydwaj dostali po cztery hektary. Ale gospodarzyli odmiennie. Ojciec co parę lat dokupywał po hektarze, stryj - sprzedawał. Tylko lat przybywało obydwojm tak samo. Ojciec opowiadał, że zaraz po wojnie, tej pierwszej, stryko sprzedał hektar i pojechał do Warszawy na leczenie. Nie było go ze dwa miesiące. Wrócił oklejony na uszach i potylicy. Odtąd chodził ostrożniutko, spał półleżąc, nawet przy potrzebie nie kuczał. Tak nakazali doktorzy. Pewnego rana usiadł stryko na studni, na cembrowinie, twarzą do słońca. Może ciepło go omdliło. Może to jasność pchnęła do tyłu...

Leczenie trochę pomogło: stryko słyszy świat jakby z piwnicy...

W trzydziestym dziewiątym w jego chatę rąbnął pocisk, prosto w piec. Na piecu leżała harmoń, strykowa siostra. Klawisze rozleciały się po ogrodach wraz z wiechciami strzechy i fajerkami. Przez pół dnia nie otwierał Filip drzwi, rozmyślając o Bogu, IurHach i Niemcach. Wreszcie wyszedł z rozszarpanej chaty, ale taki przemieniony i poważny, że sołtys Burski zbieleł i zapytał: - Co wam, stryku Filipie... Tak powiedział: stryku Filipie. Odtąd wszyscy w okolicy, krewni i niekrewni, mówią do niego honorowo: stryku.

I zaraz niedługo narodziło się moje życie. Wnet strzeliło w górę zielonym pędem. A strykowe - niezmiennie sterczało obok starokawaler-skim badylem.

Wkrótce pochwaliłem się:

- Stryku! Zdałem na studia!

- O! chwat! Uczysie, Paweł, inżynierom budziesz.

90

91

I cóż, kończę już studia, przyjechałem do Rabarbaru na ostatnie moje ferie. Szedłem przez wieś, jakieś dzieciaki śmigały na łyżwach, mówiły mi dzień dobry. A jeśli dzieci kłaniają się nieznanemu, znaczy, że on już stary koń. Ulica pięknie wybrukowana: ech, ci starzy, oni są niezmordowani. Bosak zakończył budowę obory i wziął się za dom. Gołąb wyremontował płot. Tylko ojцова chata przysiąda i próchnieje w węglach. Trzeba pilnie dachówki poprawić. Ziemi ojciec nie sprzedaje. Może Witek zechce wrócić - marzy. - A ty, Paweł, jak? Może ty? Nie wiem, nie wiem, co robić - odrzekłem szczerze. Na Wigilię wpadła Kryśka z wypuczonym brzuszyskiem, szczęśliwa. Szwagier mówi do niej: Rybko. Czekaliśmy, kiedy zaszczeka Żuczek i zjawi się stry-ko. Nie, Żuczek Trezor, pies dwojga imion, który oznajmiał naszego gościa, tarmosił go za poły, wyciągał onuce z cholewek, już nie zaszczeka nigdy. Ojciec wyjrzał raz i drugi na ulicę. Stryko nie nadchodził.

- Może chory? - zaniepokoiła się matka, gdy nie zjawił się drugiego dnia świąt. A ja, w przypływie wzruszenia, wziąłem do kieszeni kółko świątecznej kiełbasy, nożyce i ruszyłem do Michalicz. Strykowa chata stoi tuż za cerkwią.

Leżał pod pierzyną w szynelu i gumiakach. Jakże się ucieszył! Zapaliłem lampę, wyłączyłem głośnik, który tuż nad poduszką ryczał, jak zwykle, na cały regulator.

Kiedy go ostrzygłem - a czoło, pamiętam, płonęło gorączką - zauważył na stole kiełbasę.

- Maju ćwiertku, Paweł - powiedział. - W kufereku ana... Butelka leżała tuż pod wiekiem, zalakowana. Wódka czysta zwykła

- przeczytałem. - Cena 9 zł. Serce mi się skurczyło. Czyżby? Tamta?

Odbiwszy ją pośpiesznie, nalałem do kubków. Wypiliśmy. Ech, ludzie...

On przymknął oczy, zadumał się. Może nad tamtą nieposłodzoną gorzką wódką.

Rozejrzałem się...

Siedzibą niewiele ustępuje stryko przykościelnym dziadom. Próchniejący szlabanek. Deska służąca za stół, zamocowana końcami w szczelinach pieca i ściany. Pod deską wiadro z wodą, siekiera i brzozy drapak. Na płycie wśród fajerek garnek i konewka. Pod popielnikiem wiązka chrustu i rumowisko śmieci. Dalej, w kącie, kuferek z jakimiś szmatami. Na gwoździu

tamta ślubna jesionka i kapelusz. Pod sufitem drążek, obwieszony pękami cebuli, sznurami suszonych grzy-

92

bów i płóciennymi torbami, pewnie z grochem czy kaszą. Okno przysłonięte od dołu parcianym workiem. Tylko ten głośnik nad wezłowiem, zapaćkany przez muchy, jakby z innego wieku... Stryko trwał bez ruchu z kubkiem w ręku.

Przerwałem długie niegadanie.

- O czym myślicie? - zapytałem.

Nie dosłyszał. Powtórzyłem głośniejsze, w ucho. Siorbnął nosem, wciągnął pod pierzynę wystające gumiaki.

- O imperialistach - wyznał nieoczekiwanie. Roześmiałem się. Trudno było się nie śmiać.

- Ja nie szutnik - dodał. - Byli u mnie imperialiści...

Opowiedział: w przeddzień Wigilii zajechali agronom i przewodniczący. Obejrzeni izbę, popatrzyli na niego, leżącego tak w szlabanku, i zaoferowali miejsce w domu starców.

Będzie miał ciepło, czysto i syto. Gmina opłaci... Stryko uniósł się. Jakim prawom! - krzyknął. - Jakim prawom! Jest socjalizm czy nie?!

On, stryko, uważa, że socjalizm dał obywatelom prawo żyć, jak się chce. On zaś takie życie upodobał, jakie właśnie ma!

Na to agronom, że ziemia leży odłogi, nieuprawiana, dwa hektary. Czy to po obywatelsku, zapytał, ziemię marnować, gdy państwu zboża brakuje. Gdyby wszyscy tak podchodzili do sprawy...

- I co im stryko odpowiedział? - zaciekawilem się.

- Że to moja ziemia! Jak ja zechce, to ja te ziemie wybrukuje, a im nic do tego. Mało ja dla państwa daje, ale i mało biorę. Łaski nie chce, nodań nie pisze.

- A czemu stryko powiedział imperialiści?

Zdaje się, trafiłem w sedno. Podciągnął się, oparł głowę o głośnik i gestykulując nad pierzyną rękawami szynela, zaczął wywodzić, po polsku i po prostu, czyli polsko-białoruską gwarą, na przemian.

- A tak, imperialiści. Państwo - sprawiedliwe, ale człowiek nasz - imperialista...

Nie rozumiałem.

- Może w Ameryce, w Niemczech są imperialiści - zgodziłem się. - Ale u nas?

Stryko wygłosił swoje prawdy wiary.

Według niego szerzy się u nas imperializm prywatny, domowy. W trzech gatunkach. Jeden gatunek - nachalstwo, drugi - zazdrość, trzeci - szyderstwo.

93

Uśmiechnąłem się.

- Fiu, fiu... Poustawiał sobie stryko...

- A poustawiał - zagrzmiął niezrażony. - Czterdzieście lat tak ustawiał. -1 klepiąc poufale głośnik, dodał: - A dwadzieście lat ustawlaju z hetoj pleciugoj...

Swoją teorię wyłożył zawile, mieszając nazwy, przecząc sobie w co drugim zdaniu.

Imperializmem nazywał, zdaje się, nietolerancję bliźniego. Imperializm rodzi się z oszukaństwa i bezwstydu, co chyba oznaczało fałsz i brak skromności. On uważa, że czas wypenić imperializm państwowy, ale także domowy, czyli osobisty... Aż zagubił się w wywodach...

Wygadawszy się, odsapnął i nagle zaproponował, żeby po studiach przyjechał do niego.

Razem zagospodarujemy leżące odłogi.

- Maju użę siedymdziesiąt let. Jak umru, woźmiesz moju ziemię -powiedział z wielkodusznością. - Ty podumaj!

Zadumałem się. Ofiarowywał mi swoją ziemię. A jeśli uwzględnić wszystkie znaki jego życia rozproszone po hektarach, ślady sierpa, cienie braci, zapach czosnku, smak postów - dla mnie



nieistniejące, a dla stryka wiecznie żywe - chciał złożyć w moje ręce swoje wszystko. I zrobiło mi się ogromnie smutno, że w moim wymiarze ta jego wielkoduszność kurczy się, niestety, do kilkunastu tysięcy, do półrocznej pensji inżynierskiej... Niedorzecznie rozwidliły się nasze drogi, strykowa i moja, choć wyszły z tego samego rabarbarskiego łóżka pod obrazem.

- Dobrze, stryku - skłamałem przy święcie. - Za rok, po dyplomie, przyjadę!

Jakże się ucieszyli! Wódka i radość rozebrały go do reszty. Zamachał rękami.

- Harmonii mnie daj! - huknął nieprzytomnie. - Na pieczyzynie! - I opadł na poduszkę, w ciepły dobry sen.

Umyłem kubki, przymiotłem śmieci.

Cóż więcej mogłem... Dogasała lampa, skwierczał knot. Na ulicy rozbłysła elektryczność.

Cicho na palcach szedłem ku drzwiom. To dobrze, myślałem, że przede mną tyle piachu i asfaltu i że długo jeszcze nie dostąpię strykowej skromności.

grudzień 1966

Rzeka

- Rzeka? O, panie Miastowy, niełatwo powiedzieć, co to rzeka. To taka pani... co nie pyta i nie prosi. Żyje sobie po swojemu. Jej siostry: Wiosna i Jesień. I Burza... Cóż my dla niej, my, ludkowie na jej brzegu? Muraszki, panie. Żyję, biedne, na jej łasce, odgaduję jej zachcianki. Wyleje, zmarnuje nam pola? Czy nie wyleje... Obdarzy rybo - czy poskapi... Wciągnie wirami na zawsze, przemieni w jakiegoś utopca, czy wypuści.

- Pana... dosięgnąć próbowała?

- Tak, że natrudzi, nastraszy - dużo razy. Ot, choćby wtedy z panem... co nas wywróciło...

- A tak naprawdę?

- Tak naprawdę, żebym aż do tamtego świata zajrzał, tylko raz. Chłopcem jeszcze będąc.

Nurka głębszego dałem, a ona caps korzeniami, za nogawki.

- Kto: ona?

- Toż mówi się: rzeka. Przestraszył się ją i... Widział pan kiedy zająca między budynki wpędzonego, jak skacze? Aż tchu zabrakło i poczułem: koniec. Ma ona mnie. I dziwne, panie Miastowy: uspokojenie przyszło. Hy... Sześćdziesiąt lat minęło, i nie zapominam.

- Czego, panie Matoszko?

- Te wodorosła, jak na nurcie wyginają się, przeginają... Te trawy... Słodko jakoś... Wie pan, latem woda słońcem przeświecona. Najpierw jedna podpłynęła, opłynęła mnie... Wesoło.

Jakby się radowała.

-Kto?

- Może już mnie się mrzyło z nieprzytomności... Była taka, takut-ka jak babka opowiadali...

Kto, pan pytasz? Rusaliczka! Potem drugie podpłynęły. Włosy zielone, długie, na nurcie falowały.

97

- Młode?

- Takie akurat... Pan widział kiedy latem, przeważnie w sobotę po zachodzie, kąpiące się dziewczęta? To one mniej więcej takie. Babka bała, że dziewczęta, co utono młodo, niczego nie spróbowały, cza-tujo potem w głębinach w osobie rusałek.

- Zobaczyły młodzika, pomyślały: okazja...

- Ale zaraz On wyrzął, uciekły. Może to tylko szczupak był, a mnie się zwidziało?

- Co za on?

- Diabeł... Wodny. Taki jak babka opowiadali. Że bywają diabły wodne. Na zastoiskach - błotne. No a ma się rozumieć na brzegu, w olszynach, zagajnikach - diabły leśne. Różne gryfy, wijuny. Wie pan -stare czasy, ciemnota... Na pastwiskach - łójmy. W zbożach - kózytki. W lnach, konopiach - konopielki. Na rozstajach - upiorce. Na mogiłach - umierce. W

studniach - marmytyki. Na spaleniskach, w stajniach, pod dachami - domowiki. Uch, było kiedyś tego.

- A ten diabeł tam wtedy, panie Matoszko?

- Uciekł. Może medalik zobaczył na szyi... A potem muzykę usłyszałem, szum taki, jakby organy, ale delikatniejsze. I wtedy już, pamiętam, na łąki wyszedłem, niebieskie. Dołem zieloniutko było jak w kwietniu, górą niebiesciutko jak czasem latem, przed wschodem, przy rosie... A to już pewno stryko mnie ratowali. Spodobało się widać rzece wypuścić mnie. Nastraszyła, żebym szanował - i wypuściła.

- I nie bał się pan potem wchodzić do rzeki?

- Zrazu tak. Potem coraz mniej... A potem wojna, znowu wojna... raz i drugi wycelowaną lufę opuszczono... I bać się przestałem. Ot, żyje się tak, panie Miastowy, żeby się u Pana Boga nie zapożyczać... żeby w każdej, byle jakiej minucie móc, jak mówi nasz sklepowy, zdać kasę.

Drogi

- Co by było, panie Matoszko, jakby dróg nie było?

- Jakby dróg nie było? He, he, he... Co też pan. Hy... Jakby dróg nie było? E... To jak by jeździli ludzie do ludzi? No a wesela? Do ślubu? Ze ślubu? A do sklepu jak? Do gminy? Jakby dróg nie było? No wie pan! Jest mi po prostu przykro, panie Miastowy.

- Co to jest droga, panie Matoszko?

- Nie bądźmy dziećmi, panie. Droga? Co to jest droga?... To zależy, czy się nio idzie, czy się na nio patrzy... dajmy na to z okna, zimo... a ktoś z daleka, dzyń-dzyń, nadjeżdża... sanno... nie wiadomo kto... do kogo skręci... czy pojedzie dalej... Pojechał?... Kto to?... Dokąd-skąd?...

- Dziwne. Raz pan mówi „zimo”, „sie”. A zaraz potem „zimą”, „się”. Czemu taka dwoistość, panie Matoszko?

- Czemu? Bo dwoisty jestem, panie Miastowy. Z urzędnikami, z panem, z nietutejszymi mówię ja po miastowemu. A ze swoimi - po tutejszemu. A jak się zamysle, to myślę też po tutejszemu.

- Aha, pojąłem. Więc co to jest droga, panie Matoszko, kiedy się nią jedzie?

- To zależy czym... i z czym. Inaczej z gnojem, inaczej z sianem czy koniuszyną, a jeszcze inaczej - z drzewem z lasu. Inaczej wozem, inaczej - saniami. Inaczej zadkiem na spodówce, inaczej - plecami na sianie. Nu, ważne też, przykładowo, koń wesoły czy marny, ledwo-ledwo... I czy daleko się jedzie, czy blisko... pożyczyć czy oddać... A jeszcze ważne, jaka to droga: bruk, piasek, błoto, śnieg, odwilż czy mróz. Rano czy w południe. A może: o wschodzie. Nu i czy przez las, czy łąkami. Pod górkę czy z górki. Będzie przez rzekę mostek czy bród... moczenie buksów i spodówki. Czy droga do większej drogi wie-

99

dzie czy się rozmieni, rozlezie w łęgach. Czy to droga w pojedynkę tylko - czy ktoś siedzi z boku... i kto siedzi. Czy na głodno droga, czy się jadło, a może i się wypilo. E, panie Miastowy, co to jest droga, najlepiej dowiedzieć się nogami. A już obowiązkowo: bosymi. Dobrze przy tym jest, żeby piach nie był taki sobie, ale: gorący. Jak w żniwa. Abo zimny: jak w listopadzie, w przymrozki. I jeszcze żeby nogi młode byli - stare kopyta mało czują. Dobrze, żeby na tej drodze od czasu do czasu była kałuża... kamienie... korzeń... żwir - i jeszcze skaleczyć palec albo odbić piętę. O, żeby poznać się z drogą, dobrze jest, żeby droga była daleka, aż hen w cudze strony... iść, iść, iść, i pomylić się na rozstaju, i wejść w dziwne miejsca... wracać się, złościć się, spugać się, że się zbłądziło... że czort kołuje... wkoło jakieś nieswoje krzaki, wydmuchy, wertepy! A wtedy niech jeszcze zahaczy w gałęziach... coś czarnego przesmyknie niech za krzakami: zwierz jaki... wilk może...

- Albo i mara?!

- O-to-to-to! Czarny baran... pies kulawy... zając miauczący... Jezu! Jezu, jak dobrze wtedy zobaczyć naprzeciw człowieka... przeżegnać się, żeby on nie był czasem w kopytkach! potem

powiedzieć: „Niech będzie pochwalony...”. A jak odpowie, spytać się: „Panie, którądy to, panie, do Jaćwiezi?”.

- A on? Co on niech odpowie?

- „Do Jaćwiezi? Toż to panie całkiem naprzeciw! Chodźmo panie, ja też, panie, do Jaćwiezi”.  
-Ico?

- I już dobrze. Uj, jak dobrze, panie Miastowy... Sie idzie, już spokojnie. I sie rozmawia.

Płoty

- Płoty... Do czego są płoty, panie Matoszko?

- Żeby było: do płotu - moje. Za płotem - nie moje.

- Moje powietrze?

- Trawa, jak to mówią, moja. Kamienie moje. Drzewa moje.

- A ptaszek na drzewie?

- Póki siedzi na moim drzewie, trochę on poniekąd jakby mój.

- A chmury?

- E, chmury są wszystkich. Chociaż... te po mojej stronie - jakby bardziej moje niż tamte po nie mojej.

- A słońce?

- Słońce? Jak patrzę wzdłuż płotu - i widzę, że ono powiedzmy przeszło już na moją stronę, między moje płoty - słońce też jakby zaczyna być moje.

- To i niebo?

- Ten kawałek nad moim paświskiem, między moimi płotami - obowiązkowo też bardziej mój niż czyjś.

- To i... gwiazdy ma pan swoje, panie Matoszko?

- Hm, tu mnie pan zaskoczył, panie Miastowy. Ale, żeby nie skłamać, powiem: niewątpliwie pare mam.

- Ziemię pan zapisał synowi, panie Matoszko?

- Jeszcze nie zapisałem. Ale zapiszę. Najmłodszemu.

- Ziemię, budynki i inwentarz?

- Wszystko. -I płoty?

- Niewątpliwie ma się rozumieć: płoty i temu podobne.

101

To i ten kawałek nieba między płotami?

To wynika samo przez się, że owszem.

To i gwiazdy chyba, panie Matoszko?

Hy... Niewątpliwie mimo wszystko gwiazdy... też.

Krowy

- Krowa...

- Tak jest, panie Miastowy, patrzę i widzę. Krowa.

- Wejdźmy w położenie krów, panie Matoszko.

- Ale pod jakim kątem, panie Miastowy?

- Popatrzmy oto. Pastwisko. Na nim krowy.

- Niech pan uprzejmie zauważy, że o, tam, na uboczu, także koń występuje.

- Owszem, występuje. Ale w związku z tym zadałbym panu pytanie.

- Słucham nie bez szacunku, panie Miastowy.

- Czy koń - to mąż krowy?

- Wykluczone!

- Więc?

- A, panu się rozchodzi, że krowy żyją w stanie samotnym? -Tak.

- Jako: niezamężne?

- Zgadł pan.

- Aha... I że ich dzieci rodzą się - nieślubne?
- W dawnych czasach, kiedy pasłem te niezamężne matki i te nieślubne pólsieroty, pamiętam, bardzo mnie to wtedy smuciło. Współczułem im - jak sobie.
- Panie Miastowy! Mógłby pan być moim bratem! Wie pan, dlaczego? Kiedy patrzę na zwierzęta, też nieraz serce mi się obrywa. Nieraz myślałem: cóż by było, gdybym się urodził między baranami? Albo: trzodą rzeźną? Jezu! Wejdźmy przykładowo, panie Miastowy, w położenie takiej gęsi. Albo: myszy. Czy: zająca...

103

- Taak... A wracając do losu krowy, panie Matoszko: zna pan przecież te całonocne i całodzienne ryki matki, kiedy jej odbiorą od piersi cielątko.
  - I zarzną, panie Miastowy! A krowa przecież śmierć dziecka nawet przez ściany czuje! Ach, nie mówmy o tym... Skowyt serca mnie przeszywa.
  - I mnie także.
  - Pan ma sejsmograf w sercu, panie Miastowy!
  - A weźmy jej życie intymne...
  - Taak... Te pół godziny miłości raz do roku...
  - Z jakimś zawodowym kawalerzystą.
  - Jeśli nie z lufą pistoletu, panie Miastowy! Lufą specjalnego pistoletu...
  - Wstrząsające to, panie Matoszko.
  - I okrutne. Okrutne...
  - A i śmierć starej zasłużonej krowy, panie Matoszko, jakaż upokarzająca. Zamiast czcigodnej emerytury: nóż.
  - Albo: iglica.
  - Iglica?
  - Iglica specjalnego pistoletu. Między rzeźnikami nazywają jego radykał.
  - O!
  - Zabija w czoło. Jednonatychmiastowo.
  - A weźmy...
  - Już nie mogę, panie Miastowy!
  - Serce?
  - Czoło.
  - Ach, wiem...
  - Ileż pastewnej młodzieży... ileż starych matek mam ja na sumieniu... Czuję iglicę specjalnego pistoletu, panie Miastowy.
- Konie (1)
- Wyjdźmy może z położenia krów, panie Matoszko, i wejdźmy w położenie koni.
  - Uff, konie... Konie mają lepiej.
  - Czy aby na pewno, panie Matoszko? Ma pan przecież konie. Zdaje się nawet parę.
  - Aktualnie: półtora. -O!
  - Klacz i żóbkę.
  - Czy patrząc na obraz końskiego trudu, uświadamia pan sobie, panie Matoszko, że jest pan - wyzyskiwaczem?
  - Tym, no, jak to kiedyś szydzili: kułakiem?
  - O głębszą, o bardziej zakamuflowaną niesprawiedliwość mi idzie. Jak pan zapewne wie z prasy, panie Matoszko, bogactwo pochodzi z nieopłacania i przywłaszczania sobie części czyjejś pracy. Koń wypracowuje więcej, niż zje i kosztuje. Jest pan wyzyskiwaczem, panie Matoszko!
  - Proszę na mnie nie krzyżeć, panie Miastowy!
  - Przepraszam. Poniosło...

- Gdyby to był wyzysk, panie Miastowy, konie już by się dawno zbuntowały i zrobiły rewolucję.
  - Nie zrobiły i nie robią, panie Matoszko, bo nie miały swego Marksa i nie wiedzą, że są wyzyskiwane. Ba, one pana, swego wyzyskiwacza, mają nawet za dobroczyńcę. Lubią pana, kochają. Bo po robocie pan je poklepie i wypuści na trawę. Albo karmy podsypie do żłobu.
  - Dobra, pójdźmo do stajni: powiesz pan to wszystko mojej Bu-lance.
  - Pan mnie nie zaskoczył, panie Matoszko. Robiłem już takie rzeczy. Kiedyś, u ojca. Szeptalem, uświadamiałem.
  - O! I co?
  - Czasem się buntowały. Staną dęba, skręca, wyszarpną pług ojcu - i hajda, na ukos, przez miedze, zagony! Pędzą ze swoim nieszczęsnym pługiem... póki nie utkną gdzieś w koniczynie. Ale ojciec nadbiegał, zaciskał mocniej wędzidła. I walił po pyskach.
  - I co? Pokorniały?
  - Wiadomo. I wszyscy troje wracali do przerwanej orki.
  - Cóż pan wtedy na to?
  - Ja? Krowy pasąc nieopodal, czytałem następne rozdziały Mędrca z Trewiru i rozmyślałem nad wyzyskiem także krowy przez człowieka. Również: świni. Kury. Gęsi. Oraz psa.
  - Zmartwię pana, panie Miastowy, ale na mój rozum jest to problem nie do rozwiązania.
  - Dlaczego? W mieście i ptactwo, i zwierzęta uzyskały już, można powiedzieć, ludzkie prawa. Niektóre - psy na przykład i koty - nawet większe niż człowiek.
  - Ale nie na wsi, panie Miastowy! Na wsi do równości jest dziś zwierzęciu może nawet dalej, niż było.
  - Otóż to, panie Matoszko. I musimy jakoś to zmienić!
  - Hy... Słucham tak pana... Niech pan się nie obrazi, panie Miastowy, ale niewątpliwie jest pan, jak to się mówi: komunistą.
  - Pan widzi człowieka na wylot, panie Matoszko...
  - Pozwolę sobie dodać: człowieka i - konia, i psa. Nawet: drzewo. Na wylot. Fakt, panie Miastowy: nie chwając się, mam coś takiego. Wy-lotnego.
- Konie (2)
- Koniem mojego życia... koniem, którego na tamtym świecie muszę zaraz po znalezieniu się tam odszukać natychmiastowo, panie Miastowy, może i przed moją żonką zmarłej pamięci... był: Taraj.
  - Pan zamilkł, panie Matoszko...
  - Hm... Pojechałem na rynek kupić, prawdę mówiąc... krowę. Ale przechodzę koło koni, raptem, czuję, coś chuchnęło na mnie, o, tu z tyłu, w szyję. Oglądam się... Hy. Spojrzeli my sobie w oczy. I od razu, bez jednego słowa, i on, i ja powiedzieli: ciebie dla mnie, a mnie dla ciebie Pan Bóg stworzył.
  - Czymże takim on się wyróżniał spośród gawiedzi końskiej, panie Matoszko?
  - Był on... Hy, jakim by tu słowem... Różne ja konie miałem: i na-rowiste, i ciapowate. Głupie i mądre. Honorne i chełchate. Leniwe i harowne. Ale Taraj... On miał w charakterze coś takiego...
  - Solidny?
  - To też... Niestety, wymowa mnie opuszcza... On był, można powiedzieć, był... fundamentalny.
  - O! Duży?
  - To też. Ale... Wie pan, jak to niektóry koni lubi: napuszyć się! Głowę zadrzeć, kopytem grzebnać, zarzeć! A co do czego? Fuszer... Taraj nie puszył się. Nienatarczywy był, spokojny, ot, ustepliwy. Ale w razie czego - jest i siła, i honor, i swoje zdanie: swoje umie, i zawsze na niego możesz liczyć.
  - Pan powiedział: „honor”?

- A tak. Nie popędzać, nie pouczać, niech ciągnie po swojemu -a zrobi za dwóch. Panie, ja na niego może ze dwa razy tylko w życiu

107

bicz podniosłem. Przez lat dwadzieścia osiem. Taki był - ale tylko pod moją ręką. Bo już z synami - wadził się, i to niemało. Póki ich nie wychował... Ze jednak na ludzi wyszli - nieraz tak sobie myślę - czy nie jego to najbardziej zasługa.

- A co z nim potem? Jak starzał się? Gdzie... umarł?

- Bolące pytanie, panie Miastowy, nie chce się odpowiadać. Jak starzał się? Hy... A jak ja starzeję się? Jak pan będziesz starzał się? Umierał?

- Sprzedał go pan?

- W ranie żywej mi pan szpera, panie Miastowy. Cóż... Jak półśle-py już był, potykał się, schudł... wiadomo, żeby nie te, cóż, musiałem - no musiałem! - oddać jego rakarzowi. I co? Z rana syny przylatują: Tatu, Taraj wrócił! Wychodzę, patrzę, a jakże: trawę poszczypuje pod brzozą. Nogi spętane... Dwanaście kilometrów tymi spętanymi nogami, całą noc musiał, biedaczysko, dreptać.

- I już został u was?

- Nie. Wieczorem przyjechał rakarz, mocno zły, i zabrał jego. Syny, panie Miastowy, płakali. -Ico?

- Znowu słońce wzeszło, patrzym: jakiś koń szczypie trawę przy brzozie. Taraj? A jakże, on: nasz pracowity, nasz mądry, nasz umęczony, stary, dobry Taraj. Tym razem z kawałkiem łańcucha na szyi.

- I znowu przyjechał rakarz?

- Tak. Ale oddałem mu jego pieniądze.

- I Taraj żył z wami?

- Aż... umarł.

- A po śmierci?

- Po śmierci długo jeszcze jego dusza pasła się koło brzozy. Podobna do zmierzchu. Do mgiełki. Albo smugi.

- Jego dusza? Taraja?

- Taak... Czasem, jak żywy koń zarzy, dusza umarłego konia jemu odpowie. Ludzie mówią: echo. Ale ja wiem, wiem: to dusza. Nieraz nam, tak pod wieczór, od brzozy coś smutno zarżało. Cicho, chłopcy, mówiłem, ciii... Nasz Taraj rzy.

Stogi

- Ludzie mają pana za dziwaka, panie Matoszko...

- A niech mają.

- Widziałem pana dziesiątki, panie Matoszko. I ludzie mają rację: kapliczki! Tygodniowe kapliczki. Tak, słomiana architektura. Widziałem stogi. Tak, kopuły cerkiewne z siana, wystające spod ziemi. Takie wypieszczone... Ale ludzie mówią jeszcze, że w niedzielę siaduje pan pod chwoją na górce i... na pola popatruje.

- Cóż dziwnego? Lubię latem w niedzielę, z kościoła szedłszy, usiąść na kamieniu pod chwoją, i patrzeć na to, co widać.

- Ale ludzie mówią na to: „Matoszko krosna rozstawił”...

- Choroba, żeby ich! Przyczepili się... Raz kiedyś przy babach zażartowałem, a oni? Łate na całe życie przyczepili!

- Cóż takiego pan powiedział?

- Y, takie tam głupstwo.

- O... haftowaniu?

- Że jakby mnie nie o plon, nie o ziarno szło, to ja bym wam baby dopieroż pokazał haftowanie!

- Jakie?

- Ano, jak pan to osobiście widzi, teren u nas taki bardziej... poszarpany. Tu dolinka, tam górka, a tam spad... tu glina, tam piasek, a tam żwir. Tu mokro, a parę metrów w bok - już sucho. Nie ma hektara, żeby na nim nie było z pięć kawałków, na każdym inna uprawa. Powiedziałem kobietom: można by rozplanować... na którym kawałku len, na którym gryka. Gdzie kartofli, gdzie żyto, gdzie koniczyna. Jak panu niewątpliwie wiadomo, każda roślina swoją porę kwitnienia ma - i każda innym, swoim kolorem kwitnie, a także swoim dojrzewaniem.

No i co pan

109

na to? He, panie Miastowy! Czy nie można tak pory wyliczyć, takie rośliny jedne z drugą spasać, żeby się - jak to mówią - nie gryzły? Niech te kolory, co trzeba, się spotykają, co nie trzeba - mijają! Pan się niewątpliwie orientuje, że koniczyna kwitnie czerwonym kolorem... z przydatkiem sinawego... a jest i biała. Len - niebiesčiusieńko. Gryka - bielusieńko. Kartofli - i tak, i siak, są różne odmiany... Do tego: każda roślina przed kwitnieniem zielona... Ale jest zielone i zielone. Weź pan przykładowo: saradela a wyka? A ileż nowych kolorów, kiedy dojrzewają? Brązowe, żółte, złote, siwe i tak dalej, i temu podobne! He, a sieje się tego, że palców na rękach i nogach za mało. I groch, i rzepak, i buraki, i warzywa, i trawy... Zagnałbym ja was, tkaczki dywanowe, wyszywaczki makatko we, do dziadoskiego rogu, że ani mru-mru! Tak zażartowałem... Na swoją głowę.

- Ale ludzie naprawdę myślą, że tak siedząc na górze pod chwoją, kolory pan planuje...

- To co - dlatego, że podśmiewują się, mam nie usiąść? Nie posiedzieć - choć lubię?

- Ale panie Matoszko, niech mi pan powie szczerze... Czy aby na pewno... nie dopasowuje pan tych swoich zagonków? Ja kiedyś byłem na tej górze - na własne oczy sprawdzić. Pana pole naprawdę jest... no... piękne.

- Panie Miastowy: a kiedy pan patrzył? W czerwcu może?

- Przed żniwami było.

- W niedzielę może?

- To na pewno. Przed południem.

- Nie było pochmurno?

- Nie. Słonecznie.

- Panie szanowny, niech pan powie... Jak się patrzy z góry i jest czerwiec... niedziela... i słońce świeci... A w dole wszystko rośnie - dąży - pręży się - wypełnia - zielenieje - żółcieje - niebiescieje - różowieje - bieleje... i niczego już więcej człowiekowi się nie chce, tylko tak patrzeć i patrzeć... to czy jakie pole może być wtedy niepiękne?! Niech mi pan powie. Co? Panie Miastowy! Czy pan śmie mnie powiedzieć odpowiedź negatywną?

Wrony

- Wiadomo: wrona wydziobuje pędraki. Ale czy dla takiego marnego zadania stwarzałyby Pan Bóg aż tak dużego ptaka? I to czarnego? Smutnego? Panie Matoszko: po co na świecie kruki, wrony?

- Żaby, tarakany i temu podobne? Otóż mogę coś niecoś w tym temacie panu powiedzieć.

Każde, nawet najmniejsze hadztwo, jak wsza i pluskwa, ma na tym świecie jakieś wyższe, Bogu wiadome, przeznaczenie. Więc jeśli chodzi apropo o wrony. Panie Miastowy!

- Słucham nie bez szacunku, panie Matoszko.

- Była kiedyś w jednej wiosce pewna rodzina. Wszyscy sąsiedzi żyli po ludzku: jak było smutno, smucili się, jak było wesoło, śmieli się, tańcowali. Tylko ta jedna rodzina była smutna. Ojciec, matka, dzieci, babka, dziadko - wszyscy gremialnie smutni. Wiosna idzie - oni smutni. Niedziela - oni smutni. Wesele - oni smutni. Chrzciny - smutni... Z roku na rok smutniejsi. Spytać ich czemu - nie odpowiedzą. Albo nie chcą, albo i sami nie wiedzą.

Doradzić im: cieszcie się, świat dla radości stworzony - skrzywio się i... jeszcze bardziej posmutniejo. Aż raz ktoś z rana patrzy: siedzą na dachu jakieś czarne ptaki. Woła ten ktoś ludzi, ludzie wchodzą do chaty, patrzą: nikogo nie ma. Ale słyszać te ptaki na dachu: Kra!

Kra! „To oni, niewątpliwie oni! - poznali ich ludzie. Ale nie zmartwili się zanadto. - A dobrze wam tak! - krzyknęli. - Psuli wy radość całej wiosce! A kysz! trumienniki, a kysz!". I obrzucili ich kamieniami. Ale ptactwo wzbiło się, panie, zakręciło, wróciło! I lata wkoło wioski, to tu, to tam - ciężkie, panie, nastroszone, żałobne - i kracze, radość psuje.

- A jeśli u ludzi smutno, żałoba - co one? Cieszą się?

- Też nie. Nie umieją. Ot, ciągną się za człowiekiem jak... jak stare grzechy.

111

- To prawda: upodobały sobie człowieka wrony. Przyczepiły się-

- O-to-to-to! Namolny ptak. Ni to szpieg. Ni to, panie, podjadek. A to ze śmieci flaki jakies wyrzucone wyciągnie. A to zabłąkanego kurczaka ukradnie. Orzesz - lezie za tobą brozną... kontroluje. Jamę na kartofle kopiesz - usiądzie na słupie, pazury czyści i, panie: przygląda się!

- Można powiedzieć: towarzysz człowieka.

- Taak, towarzysz... Ale: smutny towarzysz.

Bociany

- O, bocian, to ptak radosny, panie Miastowy!

- Dziób i nogi, owszem, ma czerwone, panie Matoszko. Reszta niby biała. Ale tego czarnego na skrzydłach, jak się przyjrzeć, też niemało.

- Nie wyglądem mierzyć radość, panie Miastowy, ale tym, jak kto żyje. Bocian? I wędrowiec! I dzieci lubi! I szczęście przynosi! W marcu, jak śnieg topnieje i zewsząd spływają broźnami potoczki, wyglądaliśmy całą rodziną: leci już Wojtko? I któregoś dnia pięknego, a jakże, widzimy: leci, leci, leci nasz boćko! Skrzydła rozcapierza nad naszą stodołą, i jak prorok, jak święty zwiastun, w gnieździe ląduje! A za nim już małżonka jego - nasza bocianica! I już szyi wyginają, i czerwonymi dziobami klekoczo, witają, wiosnę rozgłaszają! A kury i gęsi patrzają z dołu, z gumna, zajzdrosne. Bo cóż one prześle ich, wędrowców? Robaki! Deptaki! A oni na górze, światowcy, już gniazdo przegładają, już do brzeziny leco, już z patykami w dziobach wracają! A my niby ro-bim to to, to tamto, ale cały czas na nich, naszych wczasowiczów się oglądamy, uśmiechamy się. „Przylecieli! Żyjo! Nie ukisili ich te fara-ońce!".

- Faraońce?

- Jak nasze bociany, panie Miastowy, odlatują jesienią do swoich ciepłych krajów, już tam oni, Egipcjanie, czekają na nasze zmęczone, nisko lecące ptaki. Z pałkami. Bez litości rzucają tymi pałkami - strącają - zbierają z ziemi, i kiszą w beczkach. Jak my ogórki. I potem jedzą.

- Bociany?

- Niestety. Święte nasze ptaki, panie. Jedzą i mówią: „Ach, jakież one smaczne tego roku, te polskie bociany, jakież pyszne!".

113

- A żeby ich!

- Otóż że to. Temu właśnie każdej wiosny myśleli my o tych ludożercach. Nu i stało się... Któregoś roku Zwiastowanie minęło, już i kwiecień się zaczyna...

- Nie przyleciały! -Nie.

- Egipcjanie? -A kto?

- Co potem?

- Co potem... Hm... Zaraz potem moja wielka rodzina rozleciała się po świecie. Córki powychodziły. Żona umarła. Synowie powyjeżdżali. I w chacie, i w obejściu zrobiło się pusto. Myślę, panie Miastowy, że bocianom odechciało się tu wracać.

- A może... może, panie Matoszko, zrobiło się smutno i pusto, i rodzina się rozleciała, bo... one nie wróciły?

- O! Panie Miastowy... Pan rzucił nowe światło, co w czym z czego...

Drzewa



- Trapi mnie tajemnica pojedynczych, samotnych drzew, panie Matoszko. Polnych, łąkowych oraz pastwiskowych. Dlaczego się ich nie wycina. Choć przeszkadzają w orce. Kośbie. I soki podbierają roślinności.

- Dają cię w czas odpoczynku... Ludziom i żywinię, panie Miastowy.

- Niech pan mnie nie czaruje, panie Matoszko. Gdyby pana górkę kupił jakiś Niemiec czy Duńczyk, ściałby on starą chwoję na tej górcie jeszcze tego samego dnia przed zachodem słońca. Mimo wszystkich jej pożytków.

- Ależ ja nie Duńczyk! Nie Niemiec! Ja... Hy...

- Mocno się pan zamyslił. Czy mógłby pan zastanawiać się na głos, panie Matoszko?

- A, przepraszam... Owszem, mogę myśleć murmurando. Że w niedzielę, z kościoła szedłszy, lubię na kamieniu usiąść pod chwoją, z góry nad okolicą podumać, już mówiłem. Ale co jeszcze... Ech, Matoszko, Matoszko: toż to chwoja, z której ty pierwszy raz świat rozległy oglądałeś! I z bratem budę na niej, w gałęziach, krowy pasłszy, zrobiłeś. Szalas taki. I coś jeszcze ważnego było... O! Toż pod tą chwoją kawalerka zza kolei cię dopadła, pamiętasz. Przeknąłeś się, można powiedzieć: jak Łazarz z grobu zmartwychwstałeś. Ciemno. Tylko coś szumi. Organy? Niebo może? Pomyślałeś: to już wieczność szumi... Ale oczy otworzyłeś, poznałeś: chwoja! Nasza, Matoszków, chwoja! Panie Miastowy! Pan ściałby taką chwoję?

- A ta jarzębinka u pana na łące, panie Matoszko? Nie jest to przecież drzewo potężne, szumiące. Prawdę mówiąc: taki większy dmuchawiec.

115

- Obcy, jakby tę taczkę kupił, ściałby tę jarzębinę natychmiastowo. Szast-prast i po trawie. Tym bardziej że ona półsucha, a od zachodniej strony, muszę się przyznać bez owijania w bawełnę, próchnieje. Niestety: ze starości...

- Znowu pana jakby nie ma, panie Matoszko.

- Przepraszam. Powiem tyle: jakże ja ją mogę ściąć, jak ja już pięćdziesiąt pięć... sześć... siedem... o! sześćdziesiąt parę lat pod tą jarzębinką co roku kose klepie. W końcu czerwca i na początku września... Przychodzę z kosą wyklepaną... ale jak stępi się - siadam... Tamże, panie Miastowy, ja śniadanie kosiarskie spożywam... Najpierw przynosił nam - ojcu i mnie - barszcz, kawałek mięsa w barszczu i zacierkę w dwojaczkach Lucio, brat najmłodszy, zmarłej pamięci. Potem już... moja żonka... zmarłej pamięci... Trochu lat przeszło - już i Miecio zaczął przynosić, mój najstarszy, aktualnie fclzner Ziem Odzyskanych... Potem Lutek... aktualnie kapitan sił powietrznych... Potem Helenka... aktualnie, jak pan wie, przebywająca w krajach dolarowych... Potem Stasia... Potem Romek... Potem Marysia... Potem Janek... Potem Leszek... Który tego roku skosił mi łąkę traktorem.

- Ale którego jakoś w domu nie widzę?

- Bo aktualnie w internacie. Technikum studiuje. Ale jak skończy... Jak się ożeni... I jemu ktoś zacznie w pole strawę przynosić.

- A jarzębinka? Wytrzyma?

- Oj, oj... Któregoś dnia, panie Miastowy, przyjdę i zobaczę: leży. Wiatery ją przechyli. Albo jaka krowa czy dzik, czochrawszy się.

- Ale osobiście pan jej nie tknie?

- Panie Miastowy! Pan mi znowu zadał bardzo niemieckie pytanie.

- Przepraszam, panie Matoszko.

- Taak. Któregoś dnia przyjdę. A ona: leży.

- Cóż. Takie jest nasze życie, panie Matoszko.

- Taak. Trafnie pan to ujął: takie jest nasze życie. Pan niech wybaczy, że się częściowo zamysle.

Krzyże

- Krzyże...

- Krzyże... Mhy, ojciec mój, panie Miastowy, popełnił kiedyś... nie wiem, jak nazwać. Grzech? Błuznierstwo? Heretyzm?

-O!

- Ta grusza, dzika, na moim paświsku, pan wie... Otóż ta grusza -a niestara była - ni stąd, ni zowąd zaczęła usychać. To on...

- Słucham, panie Matoszko.

- Wziął piłę, siekierę i... Wie pan, co mu przyszło do głowy? Włazł, odpiło wał czuba, odrąbał gałęzie - z najgrubszej uszykował poprzeczkę, przybił - i zrobił... krzyż!

-O!

- A ta grusza, ta nieboszczka, wie pan co? Pobyła tym krzyżem zimą, lato... A na wiosnę? Puściła zielone odrostki! Cóż za dziwo?! Ojciec przestraszył się - i zdjął tę poprzeczkę. A ona, jak pan widzi, do dziś stoi. I owoc rodzi. Dziki, drobny - ale owoc.

- Z tego można by wyciągnąć niejedną wniosek, panie Matoszko.

- Proszę uprzejmie, panie Miastowy. Ja jednakowoż myślę o tej regulacji, co pan przepowiada. Ech, zmarnują... Taka rzeka! A zrobią? Kanał. Dopływ już nam u-re-gulowali... Całkiem ładna była rzeczka. A co teraz? Rów! Kanał!

- Nie rozpaczajmy. Są brzegi. Jest woda. Woda płynie. Rzeka. Inna rzeka, ale - rzeka.

- O, panie Miastowy! Żeby woda była rzeką, to ona musi być... Słowa brakuje. Rzeka to żywioła... To coś jak wiosna... wschód... mróz... burza z piorunami. Jeszcze raz panu mówię: rzeka to pani, co nie pyta i nie prosi. Żyje po swojemu, a my, ludkowie na jej brzegu, odgadujemy

117

jej zachcianki. Wyleje? Da siano wynieść czy nie dopuści. Zamarznie - nie zamarznie...

Utrzyma na lodzie - czy weźmie i pochłonie z saniami i koniem...

- Rozumiem. Rzeka jest niezależna i tajemnicza. Kanał - nie. Czy tak, panie Matoszko?

- O-to-to-to! Rzeka to jak, powiedzmy... łoś! Wilk! Dzik! A kanał? Hy... Świnia domowa.

- Ale niestety, panie Matoszko. Za sto lat wszystkie rzeki: maleńkie, średnie i te największe, królowe nasze będą pod linię i cyrkiel. W betonowych ryzach.

- Dobrze, że nie doczekam...

- Pan będzie żył lat dwieście, panie Matoszko.

- Dwieście? O, jakby ja żył lat dwieście, panie Miastowy, to ja by przeżył cyrklowanie, prostowanie, betonowanie i wie pan co jeszcze? Coś mnie się zdaje, że wcześniej czy później żywe wygra... Jak ta grusza. Już ją ukrzyżowali - a ona? He, he, he... Mówię panu: przyjdzie, na pewno przyjdzie czas - wstaną z ziemi, zatrute nawozami, elektrycznością wypalone: gryfy, wijuny, konopielki, sporyszki... łójmy, czarcichy, wilkołaki, diabły wodne, leśne i błotne... rusałki... niedziel-ki, święte pańskie, domowiki, marmytki... Przyjdzie czas: trawa rozkru-szy cementowe szosy i fundamenty! Woda rozpuści wały! Rdza zje żelastwo - na rdzy łopuch wyrośnie i pokrzywa! Żywe zwycięży nieżywe! Robaki zjedzą nasze trumny, a brzozy na cmentarzach sięgną po nas swoimi korzonkami...

- Panie Matoszko!

- A tak, tak! Jak pan będziesz za lat parę przechodził koło naszego cymentarza, popatrz pan na brzozę trochę w lewo od głównej bramy... Poszukaj oczami gałęzi - ale nie pokręconej, sękatej, czarnej. Szukaj pan młodej, z bielusienko koro i zielonymi listkami - w słońce prosto wycelowanej. Popatrz pan... ale bez smutku... i pomyśl: Matoszko. Michał Matoszko. Ja.

Spis treści

Listy z rabarbaru

Ojciec.....7

Zdrada.....16

Brzozy.....22

List.....30

Gnojek.....	33
Matura.....	37
Savoir-vivre.....	46
Derma.....	51
Odpust.....	57
Ferie wiosenne.....	64
Impreza.....	69
Farma.....	74
Muzeum.....	79
Sztanga.....	82
Stryko Filip.....	88
Matecznik	
Rzeka.....	97
Drogi.....	99
Płoty.....	101
Krowy.....	103
Konie (1).....	105
Konie (2).....	107
Stogi.....	109
Wrony.....	111
Bociany.....	113
Drzewa.....	115
Krzyże .....	117